

Nr 4 (137) – B Rok 23

Lipiec-Sierpień 2017



KOŚCIÓŁ RZYMSKOKATOLICKI NA UKRAINIE

# Wołanie z Wołynia

## Воляннi з Волини

Pismo religijno-społeczne Rzymskokatolickiej Diecezji Łuckiej

Dwumiesięcznik **Wołanie z Wołynia** – *Воляннi з Волини*

Pismo założone w 1994 roku. Założyciel i wydawca: Parafia Rzymskokatolicka pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Ostrogu na Wołyniu.

**Redaktor naczelny:** ks. Vitold-Yosif Kovaliv.

**Redakcja:** Irena Androszczuk, ks. Władysław Czajka, Irena Dejneka, ks. Grzegorz Draus, Ludmiła Poliszczuk, ks. Waldemar Szlachta, Inna Szostak, ks. Andrzej Ścisłowicz.

Redakcja publikuje materiały nie zawsze podzielając poglądy ich autorów.

Zamieszczone w piśmie materiały mogą być przedrukowywane z podaniem źródła.

Adres redakcji:

✉ вул. Князів Острозьких, 4-а  
35800 м. Остріг, Рівненська обл.

Україна

☎ & Fax + 380 (3654) 2-30-38

E-mail: vykovaliv@gmail.com

Świadectwo rejestracji: RW nr 187  
z 15 maja 1997 r.

ISSN 1429-4109

Adres oddziału redakcji w Polsce:

✉ Ośrodek “Wołanie z Wołynia”,  
skrytka pocztowa 9, 34-520 Poronin  
<http://www.wolaniecom.parafia.info.pl/>

Dobroczynców prosimy o wpłaty na konto:

Stowarzyszenie Ośrodek

“Wołanie z Wołynia”

**PBS. ZAKOPANE O/BIAŁY DUNAJEC**

nr 77 88210009 0010 0100 1892 0001

~ ~ ~ ~

**“Wołyński Słownik Biograficzny”:**

<http://wolynskislownikbiograficzny.blox.pl/>

**„Dziennik pisany nad Horyniem”**

<http://ostrog.blox.pl/>

**Jesteśmy w Facebook’u:**

<https://www.facebook.com/Wolanie/>

---



## SPIS TREŚCI

- s. 3-5: PAP, *Modlitwa w Janowej Dolinie*
- s. 6: Jarosław KOWALCZUK, *107 Rocznica urodzin naszego Pasterza.*
- s. 7-10: Ks. Władysław BUKOWIŃSKI, *Sprawiedliwość czy miłosierdzie?*
- s. 11-17: Krzysztof RADLIŃSKI, *Zachariasz*
- s. 18: Jarosław KOWALCZUK, *Krzyż w Kisielinie*
- s. 19-20: Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *Krzyże w Tuczynie*
- s. 21-28: Maria KALAS, *Wokół idei jagiellońskiej Władysława Bukowińskiego*
- s. 29-30: Aldona PERKOWICZ-BARBACKA, *Sęk*
- s. 31: Włodzimierz FILAROWSKI, *Wyjazd edukacyjny do Poronina*
- s. 32-35: Maria KALAS, *Dobrze jest słuchać*
- s. 36-38: Tetiana SAMSONIUK, *Ocaleni od zapomnienia: ks. Bolesław Kranz*
- s. 39-40: Ks. Witold-Yosif KOVALIV, *Jeszcze o ojcu Remigiuszu Krancu OFMCap.*
- s. 41-43: Maria DĘBOWSKA, *Sprostowanie do „Przyczynku do życiorysu ks. Zygmunta Chmielnickiego” autorstwa ks. Bronisława Kanta SDB*
- s. 44-46: Danuta SIWIEC, *Prokop*
- s. 47-48: *Litania do św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego*

Poprzednie numery z tego roku oraz roczniki 2010-2016 „Wołania z Wołynia” w wersji elektronicznej są dostępne pod adresem:  
[http://www.duszki.pl/wolanie\\_z\\_wolynia/](http://www.duszki.pl/wolanie_z_wolynia/)  
<http://kresy24.pl/archiwum-pisma-wolanie-z-wolynia/>

Uprzejmie prosimy o pomoc w digitalizacji archiwum naszego czasopisma za lata 1994-2009.

Nie jesteśmy w stanie odpowiadać na wszystkie listy. Przepraszamy. Redakcja «Wołania z Wołynia»”



Rzeczpospolita Polska  
 Ministerstwo  
 Spraw Zagranicznych



Projekt jest współfinansowany ze środków finansowych otrzymanych z Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP w ramach konkursu na realizację zadania „Współpraca z Polonią i Polakami za granicą w 2017 r.” za pośrednictwem Fundacji „Wolność i Demokracja”



Z życia Kościoła na Wołyniu - З життя Церкви на Волині

## MODLITWA W JANOWEJ DOLINIE



Modlitwie w Janowej Dolinie przewodniczył ordynariusz diecezji łuckiej  
bp Witalij Skomarowski

*Fot. Konsulat Generalny RP w Łucku*

Polacy i Ukraińcy wspólnie modlili się nad grobem zbiorowym polskich ofiar zbrodni wołyńskiej w dawnej Janowej Dolinie w obwodzie rówieńskim na północnym zachodzie Ukrainy. W tym roku mija 74. rocznica krwawych wydarzeń na Wołyniu. Modlitwa w Janowej Dolinie (obecnie Bazaltowe), była pierwszą tego typu uroczystością, w której razem uczestniczyli przedstawiciele polskich i ukraińskich władz oraz Kościołów działających w obu krajach.

W uroczystościach uczestniczyli duchowni Kościołów rzymskokatolickiego i greckokatolickiego oraz Kościoła prawosławnego Patriarchatu Kijowskie-

go. Stronę polską reprezentował wiceambasador Żur i dyplomaci z konsulatu RP w Łucku z konsulem Wiesławem Mazurem na czele. Ze strony ukraińskiej na modlitwę przybyli przedstawiciele obwodowej i rejonowej administracji państwowej. W Janowej Dolinie byli także wysłannicy polskich organizacji Wołynia, harcerze i uczestnicy dwóch rajdów motocyklowych: Wołyńskiego oraz rajdu „Mogilę pradziada ocal od zapomnienia”.

– „Jestem głęboko przekonany, że najważniejszą rozmową w takich miejscach jest rozmowa z Bogiem, czyli wspólna modlitwa. Dziś byliśmy jej świadkami: Ukraińcy, Polacy, katolicy i prawosław-



**Krzyż-pomnik w Janowej Dolinie**

*Fot. Archiwum*

*ni – przybyliśmy tu dziś wspólnie, by razem się modlić” – mówił w trakcie uroczystości biskup ordynariusz diecezji łuckiej Kościoła rzymskokatolickiego Witalij Skomarowski.*

Hierarcha ocenił, że mimo wysiłków na rzecz pojednania między Polakami i Ukraincami nieporozumienia na tle historycznym wciąż dzielą nasze narody.

– *„To porozumienie nie zależy tylko od nas, strony polskiej czy ukraińskiej, ale jest też wpływ trzeciej strony, zainteresowanej, żebyśmy nie doszli do zgody. Naszym zadaniem, zadaniem Kościoła jest jednak łączyć: człowieka z Bogiem i ludzi pomiędzy sobą” – powiedział bp Skomarowski.*

Zastępca ambasadora RP na Ukrainie Jacek Żur wskazał w swoim wystąpieniu,

że Janowa Dolina jest miejscem, które przypomina o niewinnych ofiarach, *„których krew przelali ludzie o sercach zatrutych złem szowinizmu”.*

– *„Nie każdy z rozdziałów wspólnej książki naszych dziejów, Polski i Ukrainy, pisaliśmy samodzielnie. Wiele z nich powstało pod batem lub łufą wrogiego karabinu. Dziś, gdy sami odpowiadamy za własne, niepodległe państwa, powinniśmy chlubić się tym, co w nich piękne i szlachetne, lecz równocześnie powinniśmy potępiać wszystko to, co jest godne potępienia, co burzy nasze relacje i rani partnerów i przyjaciół. Współpraca wymaga szacunku dla wrażliwości drugiej strony” – podkreślał.*

W nocy z 22 na 23 kwietnia 1943 roku w Janowej Dolinie na Wołyniu Ukraińska Powstańcza Armia zamordowała około 600 Polaków. Janowa Dolina była osiedlem wybudowanym w latach 30. przy kamieniołomach bazaltu eksploatowanych przez przedsiębiorstwo państwowe. W 1939 roku mieszkało tam około 2 tysięcy osób, w tym 80 proc. Polaków. Podczas okupacji niemieckiej w Janowej Dolinie znajdował się obóz dla jeńców sowieckich i niemiecki posterunek. W nocy z 22 na 23 kwietnia 1943 r. (Wielki Piątek) żołnierze UPA, którymi dowodził Iwan Łytwyńczuk „Dubowyj”, wraz z Ukraincami z sąsiednich wsi wtargnęli do Janowej Doliny i zaczęli podpalać domy. Zbrodnia w Janowej Dolinie poprzedzała największą falę masowych zbrodni dokonanych przez UPA na Polakach mieszkających na Wołyniu. Zapoczątkowały ją mordy dokonane 11 i 12 lipca 1943 roku w 150 miejscowościach powiatów włodzimierskiego, horochowskiego i kowelskiego. Do największych masakr ludności polskiej na Wołyniu doszło m.in. w Woli Ostrowieckiej (572-620 zabitych) i Ostrówkach (476-520 zabitych). Według polskich hi-

staryków na Wołyniu i w Galicji Wschodniej w latach 1943-45 zginęło ok. 100 tys. Polaków, zamordowanych przez oddziały UPA i miejscową ludność ukraińską.

11 i 12 lipca 1943 r. UPA dokonała skoordynowanego ataku na polskich mieszkańców 150 miejscowości na Wołyniu. Była to kulminacja trwającej już od początku 1943 r. fali mordowania i wypędzania Polaków z ich domostw, w wyniku której na Wołyniu i w Galicji Wschodniej zginęło ok. 100 tys. Polaków.

Sprawcami Zbrodni Wołyńskiej były Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – frakcja Stepana Bandery, podporządkowana jej Ukraińska Powstańcza Armia oraz ludność ukraińska uczestnicząca w mordach swoich polskich sąsiadów. OUN-UPA nazywała swoje działania „*antypolską akcją*”. To określenie ukrywało zamiar jakim było wymordowanie i wypędzenie Polaków.

Zbrodnie na Polakach dokonywane były niejednokrotnie z niebywałym okrucieństwem, palono żywcem, wrzucano do studni, używano siekier i wideł, wymyślnie torturowano ofiary przed śmiercią a także gwałcono kobiety. Ogółem zbrodni na Polakach dokonano w 1865 miejscach na Wołyniu. Największych masakr dokonano w Woli Ostrowieckiej, gdzie zamordowanych zostało 628 Polaków, w kolonii Gaj – 600, w Ostrówkach – 521, Kolidnie – 516.

Z rąk nacjonalistów ukraińskich ginęły także rodziny polsko-ukraińskie, Ukraińcy odmawiający wzięcia udziału w zbrodniczej akcji oraz ratujący Polaków. „Kresowa Księga Sprawiedliwych” (wyd. IPN) opracowana przez Romualda Niedzielkę podaje, że Ukraińcy uratowali 2527 Polaków. Za tę pomoc 384 Ukraińców zapłaciło życiem.

**PAP (Polska Agencja Prasowa)**



**Fragment upamiętnienia  
w Janowej Dolinie**

**Fot. Józef Wieczorek**

Od redakcji „WzW”:

Zmieniliśmy tytuł korespondencji czy depeszy Polskiej Agencji Prasowej z „*Historyczne upamiętnienie ofiar zbrodni wołyńskiej. Pierwsza wspólna modlitwa nad grobami*” na „*Modlitwa w Janowej Dolinie*”, gdyż tytuł użyty przez PAP zawiera poważną nieścisłość. W żaden sposób nie była to pierwsza wspólna modlitwa. Wspólne modlitwy odbywają się u nas regularnie od lat 90. XX wieku. Później, np. w r. 2003, w takich modlitwach brali udział prezydenci obu krajów – Aleksander Kwaśniewski i Leonid Kuczma – czy zwierzchnicy kościołów: kard. Marian Jaworski i kard. Lubomyr Huzar. Pamięć dziennikarzy czy korespondentów PAP jest dziwnie krótka i wybiórcza.



Ў нас на Воўліні - У нас на Волині

## 107 ROCZNIICA URODZIN NASZEGO PASTERZA



Stało się już dobrą tradycją wspominanie rocznicy urodzenia o. Serafina Kaszuby w różnych parafiach Rówieńszczyzny. Tak i w 107. rocznicę urodzin o. Serafina wielu wiernych z różnych parafii Wołynia zebrali się w koreckim kościele pw. Św. Antoniego na Mszy świętej. Ojciec Kaszuba, który oddał wszystkie swoje siły dla zachowania wiary katolickiej i jej zwycięstwa na świętej Ziemi Wołyńskiej w ciemnych latach komunizmu, jest dobrze znany i szanowany we wszystkich parafiach naszej diecezji.

Na Mszy św., którą wspólnie odprawili ks. Witold Józef Kowalów z Ostroga (on wygłosił okolicznościowe kazanie) i miejscowy proboszcz ks. Waldemar Szlachta, brzmiały słowa wdzięczności za przeżyte życie ojca Kaszuby oraz modlitwa o rychłą beatyfikację. Proces beatyfikacyjny prowadzony jest staraniem braci kapucynów – członkiem tego zakonu był nasz ojciec. Po Mszy św. wszyscy zebrani udali się na plebanie, gdzie kontynuowano wspomnienia i opowieści o nielekkih ścieżkach życia Ojca.

Osoby starsze, a ich niestety jest coraz mniej i mniej, tylko z miłością i dobrymi wspomnieniami opowiadali o różnych wydarzeniach z życia o. Serafina Kaszuby. Również młodzież, która była obecna tego dnia na tym spotkaniu, w nowy sposób wiele dowiedziała się na temat posługi Ojca Kaszuby. Przekazując z pokolenia na pokolenie pamięć o Ojcu, my tym samym chronimy naszą historię, nie pozwalamy na jej wygaśnięcie. Oddając cześć księżom proboszczom naszej ziemi, którzy ofiarnie oddali swoje Życie za Wiarę Chrystusowa. Najbardziej zasłużonym i godnym uznania błogosławionym – o czym jestem mocno przekonany – jest właśnie o. Serafin Kaszuba i my modlimy się o jego rychłą beatyfikację. Ojciec Kaszuba jest obecny w naszej pamięci i opowieści o nim przekazujemy naszym dzieciom. Następną kolejną rocznicę urodzin o. Kaszuby będziemy obchodzić w kościele sarnieńskim w 2018 roku.

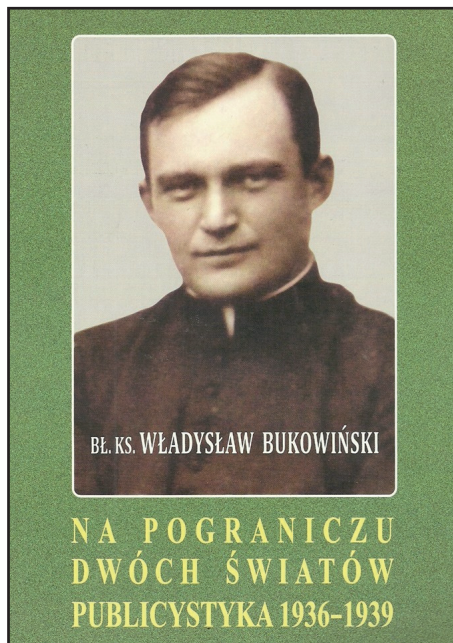
*Jarosław Kowalczyk*

Dziedzictwo - Спадщина

# SPRAWIEDLIWOŚĆ CZY MIŁOSIERNIE

Kiedy z początkiem ubiegłego stulecia [chodzi o XIX w. – przyp. WzW] zaczęła się rozwijać wielki przemysł fabryczny, wtedy też nastąpiły wszędzie ważne przemiany społeczno-gospodarcze. Przedtem ludzie opierali swój byt o własny majątek albo warsztat pracy. Teraz zjawiają się ludzie nieposiadający majątku ani warsztatu własnego, lecz żyjący wyłącznie ze swej pracy. Spośród nich robotnicy, pracujący po fabrykach i innych przedsiębiorstwach przemysłowych, od początku byli najliczniejsi, ale też i najgorzej wynagradzani za swą ciężką pracę. Właśnie w początkowym okresie rozwoju nowoczesnego przemysłu, w pierwszej połowie 19-go wieku, wyzysk pracy robotników był szczególnie dotkliwy i urągający wszelkiej sprawiedliwości. Dziś – na szczęście – o takim wyzysku nie może już być mowy. Wystarczy przypomnieć, że przed stu laty angielscy fabrykanci przeważnie zatrudniali kobiety i dzieci małoletnie, płacąc im dosłownie grosze za ciężką pracę, wymagającą sił dorosłego mężczyzny. Wielu robotników nie miało wtedy pracy. Za to ich żony i dzieci, jako tańsza siła robocza, pracowały ponad swe ograniczone możliwości, conajmniej po 12 godzin na dobę. A zresztą i mężczyźni zarabiali tak mało, że nawet przy najdalej idącej oszczędności nie mogli się dorobić własnego majątku lub warsztatu pracy.

Jak mogło dojść do takiego wyzysku robotników w społeczeństwach bądź co bądź chrześcijańskich, w których sprawiedliwość i miłość bliźniego nie może być pustym jeno dźwiękiem? Doszło do tego z powodu upadku ducha chrześcijańskie-



go w wiekach nowożytnych. Podczas gdy takie na przykład średniowieczne cechy rzemieślnicze żądały od swych członków uczciwości i sprawiedliwości, i ściśle ich przestrzegały, to w nowszych czasach zaczęto głosić, że życie gospodarcze należy opierać o zysk, wyrachowanie i tak zwane wolne współzawodnictwo, a nie o moralność chrześcijańską. Nawoływano do tego w imię wolności, którą rzekomo krępują i ograniczają przykazania Boskie i kościelne. Rychło się jednak okazało, że wolność silnego staje się niewolą słabego. Bogaci fabrykanci niemiłosiernie wyzyskiwali ubogich robotników i uważali, że tak być



**Papież Leon XIII**

*Fot. Archiwum*

powinno, bo oni dążą do jak największego zysku w myśl nowoczesnych zasad gospodarczych. Tą drogą wzrastały majątki nielicznych bogaczy, ale wzrastała też i nędza uzależnionego od nich bezdomnego proletariatu robotniczego.

Przyznać trzeba, że katolicy pierwsi w Europie rzucili hasło przyścia z pomocą wyzyskiwanym rzeszom robotniczym. Uczynili to oni jeszcze przed wystąpieniem twórcy socjalizmu Karola Marksa, który chciał pomóc robotnikom przez rozpętanie krwawej rewolucji społecznej. Na nieszczęście, ówczesni katolicy, szczególnie we Francji, nie byli zgodni między sobą w sprawach społecznych. Wszyscy zgadzali się na to, że trzeba przyjąć z pomocą robotnikom, lecz różnili się między sobą co do tego, w jaki sposób to uczynić. Jedni uważali, że w myśl zasady wolnego współ-

zawodnictwa nie należy się wtrącać w stosunki panujące między przedsiębiorcami a robotnikami, lecz trzeba ich wspierać i polepszać im dolę przez miłosierdzie chrześcijańskie. Drudzy sądzili, że konieczne są sprawiedliwe reformy czyli zmiany społeczne dla ratowania robotników przed wyzyskiem. Różnica zdań pomiędzy ówczesnymi katolikami polegała na tym, czy przyjąć robotnikom z pomocą przez miłosierdzie czy przez sprawiedliwość społeczną? Czy wystarczą ku temu same tylko uczynki miłosierdzia, czy też konieczne są głębiej sięgające reformy, oparte o sprawiedliwość społeczną?

Te spory pomiędzy katolikami rozstrzygnął papież Leon XIII w swej sławnej encyklice „*Rerum Novarum*” z dn. 15 maja 1891 r. W sposób stanowczy i niepozostawiający najmniejszej wątpliwości Leon XIII stanął po stronie tych katolików, którzy żądali sprawiedliwości dla wyzyskiwanych robotników. Przytaczamy kilka zdań z encykliki papieża robotników, jak nazwano Leona XIII-go: *„Chociaż pracownik i pracodawca wolną ze sobą zawrą umowę, a w szczególności ugodzą się co do wysokości płacy, mimo to ponad ich wolą zawsze pozostanie do spełnienia prawo do sprawiedliwości naturalnej, ważniejsze i dawniejsze od wolnej woli układających się stron, które powiada, że praca winna pracownikowi sumiennemu i uczciwemu wystarczyć na utrzymanie życia. Jeżeli zatem pracownik zmuszony koniecznością albo skłoniony strachem przed gorszym nieszczęściem, przyjmuje niekorzystne dla siebie warunki, które zresztą przyjmuje tylko pod przymusem, ponieważ mu je narzuca właściciel warsztatu lub w ogóle pracodawca, wtedy dzieje się gwałt, przeciw któremu głos podnosi sprawiedliwość... Przykazaniem więc sprawiedliwości jest publiczna opieka nad pracownikami... Warstwa bowiem bogatych dostat-*



*kami obwarowana mniej potrzebuje opieki państwa; klasy natomiast ubogie, pozbawione ochrony, jaką daje majątek, szczególnie tej opieki potrzebują... Stąd wnioszek, że państwo winno popierać wszystko, co w jakikolwiek sposób może polepszyć dół robotników. Nikomu ta opieka nad proletariatem nie zaszkodzi, a owszem pomoże wszystkim, w interesie bowiem państwa leży, aby nie byli narażeni na nędzę ci, którzy dla wszystkich wytwarzają dobra”.*

Niestety, u nas w Polsce nie wszyscy katolicy zdają sobie sprawę z tego, że poprawa doli cierpiących nędzę warstw społeczeństwa jest obowiązkiem przede wszystkim sprawiedliwości, a nie tylko miłosierdzia chrześcijańskiego. Niewątpliwie w życiu społecznym potrzeba i sprawiedliwości i miłosierdzia. Wszak są to cnoty społeczne o bezcennej wartości dla dobrych stosunków pomiędzy ludźmi. Lecz inny jest zakres działania obu tych cnót w życiu społecznym. Miłosierdzie powinno przychodzić z pomocą ludziom niezdolnym do pracy zarobkowej: chorym, kalekom, opuszczonym starcom, wdowom i sierotom. Natomiast sprawiedliwość powinna urządzać stosunki pomiędzy ludźmi mającymi zdrowie i siły do pracy. Z jakże głęboką słuszością pisze Pius XI w swej ostatniej encyklice o bezbożnym komunizmie: „Robotnik nie potrzebuje przyjmować jakby jałmużny tego, co mu się słuszenie na podstawie sprawiedliwości należy; nie wolno też drobnymi datkami miłosierdzia okupić się ciężkim obowiązkiem sprawiedliwości. Tak miłość jak i sprawiedliwość nakładają często obowiązki odnoszące się do tych samych spraw, ale z innych względów. W poczuciu osobistej swej godności są robotnicy z całą słuszością bardzo wrażliwi, jeśli chodzi o zobowiązania innych wobec nich”.

Jak widać z powyższych słów Ojca świętego, jest zgubnym w swych skut-



kach pomieszaniem pojęć głosić miłosierdzie wobec tych, co pracują. Powinni oni tyle otrzymywać za swą pracę, by mogli się obyć bez cudzego miłosierdzia. Oczywiście potrzeba miłosierdzia bezrobotnym, lecz przede wszystkim potrzeba takiej zmiany ustroju społecznego, by bezrobocie ludzi zdrowych i zdalnych do pracy znikło z oblicza ziemi. Im lepszy będzie ustrój społeczny, tym lepiej da się rozgraniczyć sprawiedliwość od miłosierdzia w życiu społecznym.

Pomimo to sprawiedliwość i miłosierdzie powinny pozostawać w związku ze sobą. Węzłem łączącym sprawiedliwość z miłosierdziem i źródłem ożywczym dla nich obu jest ta cnota, którą już św. Paweł Apostoł nazwał związką całej doskonałości chrześcijańskiej, to znaczy cnota miłości. Bez niej nie ostoi się ani sprawiedliwość ani miłosierdzie w chrześcijańskim ich rozumieniu. Miłosierdzie bez miłości staje się upokarzającym przejawem pychy i próżności tego, co je czyni. Sprawiedliwość bez miłości łatwo może się stać krzywdą. Nie darmo już starożytni pogańscy Rzymianie mówili, że największa sprawiedliwość bywa największą krzywdą. Istotnie, przeprowadzenie nawet naj-



**Dawny łagier sowiecki Perm 36**

*Fot. Archiwum*

niezbędniejszych reform społecznych wymaga dużej ofiarności ze strony bogatych i jeszcze większego umiarkowania ze strony ubogich. Tylko miłość może pobudzić bogatych do ofiarności na rzecz trwałego polepszenia doli swych ubogich współprac. Ale też tylko miłość może powstrzymać od podkopania podstaw bytu i pokrzywdzenia warstw zamożniejszych pod pozorem reform społecznych. Nie o to przy nich chodzi, by zniszczyć ludzi bogatych, lecz o to, by poprawić i zapewnić byt ludziom uboższym. To prawda, że podstawą tak pojętych reform społecznych musi być sprawiedliwość, ale i ona ma pozostawać w łączności z miłością, jako związką całej doskonałości chrześcijańskiej.

W końcu jedna jeszcze uwaga. Tam, gdzie nie ma miłości, tam też nie może być

mowy o wolności w życiu społecznym. Jaskrawym na to przykładem są tak zwane totalne państwa powojenne, do których się zaliczają Rosja bolszewicka, Niemcy hitlerowskie, a w mniejszej mierze także i faszystowskie Włochy. Wszystkie te państwa głoszą sprawiedliwość społeczną i starają się każde na swój sposób ją urzeczywistnić. Niestety, państwa te nie doceniają znaczenia miłości w życiu społecznym, a niektóre z nich, jak Rosja, zawzięcie ją zwalczają. Wynikiem tego jest brak wolności w tych państwach. Włochy faszystowskie przynajmniej uznają wolność sumienia swych obywateli. Natomiast Niemcy hitlerowskie poważnie ją ograniczają, a Rosja bolszewicka krwawo ją prześladowuje. Nic dziwnego, że państwa, których obywatelom nie wolno nawet wierzyć tak, jak im to nakazuje ich sumienie, stają się olbrzymimi domami niewoli. Zanika w nich miłosierdzie. W imię sprawiedliwości pozbawia się wolności ich obywateli i wyrządza się im wiele innych krzywd. A to wszystko dzieje się z tego jedynie powodu, że rządcy Rosji i Niemiec z karygodną lekkomyślnością wzgardzili najważniejszym z przykazań Boskich – przykazaniem miłości Boga i bliźniego.

**ks. Władysław Bukowiński**

Źródło:

W.B. [ks. Władysław Bukowiński], „Sprawiedliwość czy miłosierdzie?”, „Życie Katolickie” nr 47 z 21 listopada 1937 r., s. 737-738.

Bł. Władysław Bukowiński, „Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936-1939”, opr. Maria Kalas i ks. Vi-told-Yosif Kovaliv, Biały Dunajec – Ostróg 2016, s. 181-185.



Literatura - Айрепарыпа

## ZACHARIASZ [1]

Miałem trzydzieści pięć lat, od kilkunastu minut byłem pensjonariuszem Nowego Domu Zdrojowego w Krynicy Górskiej i właśnie szykowałem się na randkę z nowo poznaną dziewczyną. Jeszcze rzut oka w lusterko, podчасanie fryzury i nagle ostry ból, z precyzją mechanicznej piły powalił mnie na umywalkę. Łapanie oddechu, jęk, piła, torsje. Oddech, ból, piła coraz mocniej, nie starczało prawie czasu na krzyk.

Mój bełkot zwabił jednak kogoś z korytarza. Ciekawski sąsiad. Widząc, co się święci, podreptał niechętnie po siostrę. Po chwili przybiegła.

– O Jezu! – W oczach jej dostrzegłem błysk bezradnego niepokoju. Stała jak wryta.

Niech pani dzwoni po pogotowie! – wycharczałem – Szybko! Za chwilę tu zdechnę.

Nie wolno mi, mamy w Sanatorium własnego lekarza. Powinien już niedługo tu być – wyszeptła z trwożnym zaleknieniem i czmychnęła. Sąsiad przezornie ulotnił się wcześniej. Pozostałem tylko z bólem, coraz płytszym oddechem, strachem. Takim mnie zastał współtowarzysz, z którym dzieliłem pokój.

– O Boże! Co panu jest? – krzyknął.

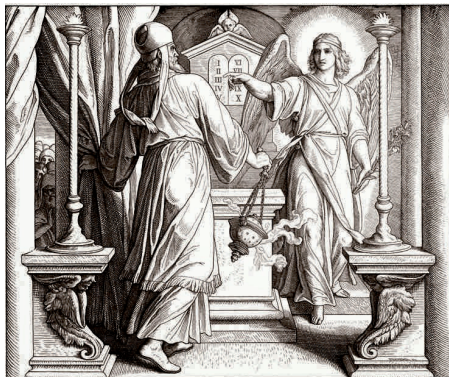
Umieram. Niech pan dzwoni po pogotowie... lekarz nieobecny... siostra go kryje. Dzwon! pan! Boże, niech mnie pan uratuje.

Zrozumiał i pobiegł. Ból narastał, ale była już jakaś iskierka nadziei.

Po chwili wrócili oboje.

– Pogotowie wezwane – szepnął ukradkowo sąsiad. Niemo podziękowałem mu wzrokiem.

– Gdzie ma pan walizkę? – rzuciła sio-



Zachariasz i Gabriel

Rys. Julius Schnorr von Carolsfeld

stra i nie czekając na odpowiedź, zwróciła się do sąsiada – Gdzie jest walizka tego faceta? Widząc jego osłupienie, dodała szeptem: – Wie pan, potem są kłopoty z rodziną, a tak zrobi się spis rzeczy, facet albo pan, podpisze i po kłopotcie.

– Aha! – nagle zrozumiał. Tamta – wskazał.

W milczeniu zabrali się do roboty, a ja tkwiłem nad umywalką.

– Proszę tu podpisać! – siostra podektnęła mi kartkę i długopis. Maznąłem jakiś gryzmoł i chwyciły mnie na powrót torsje. Ale ona była szybsza. W oka mgnieniu uchwyciła kartkę i uskoczyła na bok.

– Czysta! – stwierdziła z satysfakcją.

I tak świat oddał mi skwapliwie to, czym go dotąd z taką hojnością obdarzałem: zimną, wyrachowaną obojętność. Byliśmy skwitowani.

– Proszę tu podpisać! – głos dobiegał gdzieś z zewnątrz.

– Już podpisałem.

– Proszę podpisać zgodę na operację, że pan się zgadza.

Operację?! – uniosłem z wysiłkiem powieki. Nade mną kołysała się kobieta głową, błyskająca szklami okularów, tuż za nią, w pistacjowych prześcieradłach stały dwa niewyraźne stwory. – To szpital – uświadomiłem sobie z ulgą i przestrawieniem. – To wyrostek, może tylko antybiotyk? – wyszeptalem. Żaden wyrostek. Ma pan perforację jelit. Musimy natychmiast operować. – Proszę podpisać.

O cholera! To już koniec? I to taki głupi?

– Nie! Chcę najpierw księdza – wyszeptalem.

– Księdza? – zdumiała się. – Proszę pana, jest północ. Za oknem szaleje burza. Gdzie ja tu panu znajdę księdza?

– Za chwilę nie będzie czego operować - dorzucił pistacjowy stwór. W tym momencie huknęło coś potężnie i stwór wtopił się w tło.

– Najpierw ksiądz i koniec. – uciałem dyskusję.

Moja determinacja zaskoczyła nas, mnie i lekarzy, na równi. Lekarzy, ponieważ z dokumentów wynikało, iż jestem pracownikiem PAP-u i w przypadku mojej śmierci, pojawi się sfera węszących dziennikarzy. Mnie, bo było to jedyne pragnienie, poza nim niczego od świata nie oczekiwałem. Teraz, gdy roztrzaskała się kryształowa kula, raniąc mnie tysiącem odłamków bólu, kiedy wycieka ze mnie życie, kropla po kropli, zobaczyłem to, co było ukryte w głębi, pod warstwą tysiąca codziennych spraw.

Ujrzałem Babcie Połę, rozmodloną, dbającą o wszystkich i wszystko, z wyjątkiem siebie. Mnie, trzecioklasistę, idącego samotnie na uroczystość Bierzmowania.

Takie to były czasy.

Ojciec, wysoki dygnitarz państwa, alkoholik, mama studiująca medycy-

nę i pracująca na utrzymanie całego domu, wreszcie babcia, serce domu, w istocie schorowana staruszka, ciesząca się każdym darowanym dniem.

Któż więc wypowiedział moimi ustami to przedśmiertne żądanie? Czyżby... On?

– Proszę Pana – ponowiła swój apel Pistacja w okularach – Niech Pan będzie rozsądny. Naprawdę, nie mamy czasu.

– Nie! Czekam na księdza – wyszeptalem, nie otwierając oczu. Stuk!...Stuk!...Stuk. Stukot oddalających się kroków... wyciekający czas. I nagle go ujrzałem.

Strumienie czasu, wpływające i wypływające z praoceanu wieczności. Ożywały skały, trawy, zradzały się zwierzęta i ptaki, rozdziły morza i oceany. Dar wieczności, strumień życia i ducha i istniejący i objawiający się niczym błyskawica, biegnąca przez nieboskłon, nie mająca żadnego wcześniej, potem, teraz; i nie mogąca mieć, jest bowiem wiecznością. W jej błysku dostrzegłem wielkie ludzkie mrowiska, skrętnie usuwające się w szarość, rejterujące przed światłem.

– Dlaczego uciekamy? – pomyślałem – Bo przecież ja, też jestem taką mrówką, tyle, że przyszpiloną bólem. I nagle zrozumiałem. To ze strachu przed miłością.

Każda drobina miłości, a strumień niesie ich krocie, rozdziera nasze serce, uciekamy więc na obrzeża, aby móc brodzić w mroku.

Tu, poza nurtem, jesteśmy bezpieczni. Każdorazowo mamy zbyt mało czasu, zawsze za późno uczymy się prawdziwego oddania, nieodmiennie po fakcie. Zepchnięci w cień, marniejemy. Bezśłoneczne cienie niegdysiejszych kwiatów.

To stąd – uświadomiłem sobie nagle – Zawsze, kiedy Barbara, moja żona, pragnie się spontanicznie przytulić, robię ten krok do tyłu. Potem jest tylko tłumaczenie pustki, przeproszanie, aż do momentu pewności, że czar przysł.

– Proszę Pana! Niechże się pan obudzi!  
– Delikatne szarpnięcie. Głos z zewnątrz więc otwieram oczy.

Nade mną pochyłona twarz w okularach. Lekarka.

– Wezwaliśmy już księdza, jest w drodze. Niechże pan podpisze zgodę na operację.

Podsuwa mi formularz wraz z długopisem. Robię jakiś gryzmoł.

– Jak Pan się czuje? - pyta rutynowo. – Nie ma mnie... – szepczę – Nie ma.

Kroki oddalają się.

Czekam na księdza? „*Jak trwoga to do Boga?*” Ostami ludzki drogowskaz? Ksiądz? Ostatnim, z którym stałem twarzą w twarz, był Biskup, w czasie ceremonii Bierzmowania. Chłopaki zrobili mi kawał, strasząc, iż każdego wali po pysku. Uwierzyłem. Dałem się nabrać do tego stopnia, że kompletnie zapomniałem, jakie nadano mi wówczas imię. Potem już nie chodziłem do kościoła, poza jednym razem, kiedy byłem tam na poły służbowo.

Pracowałem podówczas w Redakcji Biuletynu Specjalnego, jedyne wydawnictwa poza cenzurą. Informacja była adresowana imiennie do wyselekcjonowanych Prominentów, z adnotacją, iż bezwzględnie po przeczytaniu egzemplarz należy zniszczyć. Miałem intuicyjną pewność, iż większość z nich, pakowała Biuletyn do zniszczarek, jeszcze przed przeczytaniem.

Któregoś dnia odwiedziła mnie vice Naczelną, mówiąc:

– Słuchaj Krzysztof, w kościele akademickim ma być jakaś prowokacja Korowców. Będziemy mieć raporty, ale czy nie uważasz, że ktoś z nas powinien to też obejrzeć?

Po chwili zastanowienia, powiedziałem:

– Dobrze. Pójdę.

Msza. Zacząłem składać sylaby zapo-

mnianych modlitw. Gdzieś obok siedziała Babunia, choć od Jej śmierci minęło ze dwadzieścia lat.

Msza skończyła się, a ja wciąż tkwiłem w kościele, nie bardzo chcąc wyjść, ale czas to był najwyższy, aby wracać do Firmy.

– No i co? – spytała mnie u progu vice Naczelną.

– Msza, jak msza – odpowiedziałem.

– Coś ty! Na zewnątrz rozrzucono ulotki, przemawiał ten „Chudy” z Uniwerku.

– Na zewnątrz nie byłem. Siedziałem „od środka”.

– Od środka? Pewno, że od środka - zaśmiała się Gienia – Przysnąłeś, jak amen w pacierzu.

– Już donieśli, że kościelny mnie budził? – skwitowałem żartem. Jeszcze nie – odpowiedziała i wyszła. Na dobrą sprawę, nie miała prawa nigdzie mnie posyłać, bez zgody mego szefa. Sprawa była zamknięta.

Zostałem sam. Na biurku leżała czysta kartka papieru. Jak zawsze, na mpodórędziu. Machinalnie ująłem długopis i sporządziłem raport. Do Najwyższej Instancji, która obywa się bez jakichkolwiek teleksów. Zna bowiem całą prawdę, zanim cokolwiek się stanie.

*Daleki od kościołów, siedziałem*

*w Kościele,*

*Aby cień złowić choćby, z cudzej tam modlitwy.*

*Okruszynę Słowa, co spadła ze stołu.*

*Emigrant, już nie pomny serca swej ojczyzny.*

*Żywa łza w oku piekła. Starłem mimowolnie,*

*Ale ślad po niej został. I on mówi do mnie.*

*Głuchego,*

*Co po drzeniu – zgaduje podzwonne.*



Tak było. Dlatego czekam na księdza. Czy wierzę? Tak. Nie tylko myślę, że On jest, ale czuję, bo kiedyś już tego doświadczyłem, jak ogarnia mnie Jego Miłosierdzie. Jak wtedy.

Było to 31 lat temu, w ostatnim roku wojny. Los rzucił mnie wraz z mamą w opoczyńskie, do jakiejś zagubionej w lasach wioski. O świcie zbudził mnie dokuczliwy głód. Podreptałem z sionki, gdzie miałem legowisko, do izby kuchennej. Krzątała się tam już Gospodyni, grube babsko, o nalanej twarzy, z maleńkimi szpareczkami oczu.

– Gdzie mama? – zapytałem.

– Zostawiła Cię i pojechała z gachem.

Skręcało mnie z głodu, więc ośmieliłem się zaskomleć:

– jeść,... głodny jestem.

Baba naraz odeszła od kuchni, pochyliła się nade mną nienawistnie i zasyczała: – za darmochę zryć nie ma. Pieniędzy matka nie zostawili, a som winni. Po czym chwyciła mnie za rękę i wyprowadziła na podwórko. – O tam – wskazała wolną ręką na pole. – Pójdiesz tam paść gosięra i pilnować, co by nie chodził w szkodę. Mos różgę. Puściła mą rękę i uniosła z ziemi patyk.

– Odganiaj go od drogi, co by nie przepadł. Rozumis?

Kiwnąłem głową. – To już – Baba uchyliła drzwi chlewika zza których widać było olbrzymie ptaszysko. – Będziesz dobrze pilnował, dam zryć.

Cekaj na polu – przykazała. Po czym kontenta, że i we mnie znalazłażytek, wróciła do izby.

Furtka obejścia nie domykała się, o czym znakomicie wiedział głodny gąsior, z łopotem skrzydeł pędzący ku polu, ja, w dziurawych sandałkach pozbawionych sprzączek, pokuśtykałem za nim. Na pole jednak mnie dopuścił. Znienacka, odwrócił łeb i wyciągając długą szy-

ję, boleśnie szczypnął w łydkę. Nie widząc, kiedy, znów znalazłem się pośrodku drogi. W jednym sandałku. Drugi pozostał na polu. Niestety, nie do odzyskania. Ptaszysko było czujne. Zaczął się deszcz, mieszając się ze śniegiem. Mokry, zziębnięty, ze ściśniętym przez głód brzuchem, stałem się jednym, niemym krzykiem o zmiłowanie.

I ON go usłyszał.

W oddali pojawił się wóz, ciągnięty przez dwa konie. – Może to mama? – pomyślałem, ale to nie była mama. Na koźle, obok powożącego mężczyzny, siedziała drobna kobieta w futrze, bacznie roglądająca się wokół. Podszedłem bliżej. Wóz zwolnił, tuż obok mnie zatrzymał się i wówczas, ta kobieta wpatrzona we mnie, krzyknęła: – Krzysio? Krzysio!

W jednej chwili tkwiłem już na Niej, wtulony w futro, jak kleszcz, błagając słabym głosem: – Nie zostawiaj mnie tutaj! Nie zostawisz?

– Nie zostawię! – zapewniła przez łzy i już mocnym, donośnym głosem zwróciła się do mężczyzny:

– Wujku Wicku... zawracamy!

To, że mamę tydzień temu spotkał w Opocznie dawny znajomy z Warszawy, mogło być przypadkiem, podobnie jego list do Ciotki na wieś, z podaniem naszego, przybliżonego adresu. To jednak, że ta schorowana, wycieńczona gruźlicą kobieta, tuż po zabiegu odmy, odnalazła nagle w sobie tyle sił, by wynająć konie, tłuc się po bezdrożach ponad 60 kilometrów, by w końcu odnaleźć mnie w szczerym polu – To był ON.

Doświadczyłem Bożego miłosierdzia.

Wkrótce, po krótkiej chorobie i nieco dłuższej rekonwalescencji powróciłem do cudownego świata. Gospodarstwo Dziadków było na tyle zasobne, że w końcu udało im się mnie przekonać, abym na noc nie chował usmarowanych masłem

skórek chleba pod poduszkę i na dowód, pozostawiali przy łóżku pokazną pajdę chleba, przykrytą talerzykiem.

Wkrótce też, znalazłem się wśród fałujących łańców zbóż, szumiących jako bór, ponad mą trzyletnią główką, ze Słońcem, ukochanym wujciem, mrugającym do mnie z wysoka i całym światem, który komie pochylił swój grzbiet, abym mógł się wygodnie rozłożyć i wypoczywać. Jesteś... jesteś. Bądź... bądź, – szeptało wszystko dookoła. Drzewa, ptaki, powietrze. – Bądź. Wykorzystaj wszystkie możliwości, które tkwią w tobie. Więcej! Musisz stać się jeszcze piękniejszy, jaśniejszy, mocniejszy i jeszcze bardziej żywotny niż jesteś. Jesteśmy z tobą jednym światłem, jedną miłością i jedną pieśnią. Trwamy w tobie, a ty trwaj w nas.

Doświadczyłem przyływu cudownej energii, wzmacniającego światła, uszczęśliwiającej jasności.

Czas zatrzymał się, bajkowa chwila trwała. Pory roku przesuwwały się i zmieniały niczym rajskie dekoracje, wokół wiorowały karuzele, pełne ciekawych ludzi, nieprawdopodobnych zdarzeń i przygód. Wszystko to było moje! Tkwiłem mocno i nieodmiennie w środku.

I nagle czas stanął dęba, wyrzucając mnie brutalnie na zewnątrz. Ze szczęśliwego bezczasu, z cudownej wieczności – terazniejszości wyrwała mnie ta sama osoba. Tamta Ciotka – wybawicielka.

Przeprowadziliśmy się do Łodzi. Zajmowaliśmy dwupokojowe mieszkanie. Ciotka z mamą ulokowały się w pokojach, babcia spała w kuchni. W dniu poprzedzającym moją bolesną katapultację, mama pokłóciła się z ciotką i jak zawsze, była górą. Do niej musiało należeć ostatnie słowo. Danka, ponura i zdesperowana tkwiła nad maszyną krawiecką. Umiała znakomicie szyć, miała prawdziwie „warszawski sznyt”, a do tego wszystkie-

go była nieprzyzwoicie tania. Prawdziwy skarb dla bogatych i skąpych bab z ówczesnej Centrali Handlu Zagranicznego. Za takie marne pieniądze miały kreacje niczym od Hersego, superkrawca przedwojennej Warszawy.

Ale dzisiaj szycie jej nie szło. Za to z wolna, wzbierało w niej nie zasłużone poczucie krzywdy, odbliźniały się rany niezliczonych upokorzeń, doznanych od młodszej, ale mądrzejszej siostry.

Bołała odebrana, też przez nią, lepsza część miłości matczynej. Wreszcie, to małe, marudne, obcej krwi, podrzuczone niczym psiak. Nitka rwała się raz po raz, ściąg wykoślawiał, spływająca łza zmaćciła perspektywę. W takim stanie ducha, oznajmiła mi znienacka:

– A wiesz, Krzysiu, że ty jesteś podrzutkiem? – Podrzutkiem? – powtórzyłem – nie bardzo rozumiejąc. – No, znajdują... Przynieśli cię pod nasze drzwi, w Warszawie, w dzieciennym beciku i zostawili. I tak cię znaleźliśmy. Potem z detalami opowiedziała mi jak wyglądała bieliżna, że była batystowa i bardzo wytworna. Nie pozostawiono jednak żadnej karteczki, nic. Tak, że nie wiadomo, kim byli twoi rodzice.

Plotąc bezmyślnie, odreagowywała swoją złość, nie dostrzegając rozdeptywanej mrówki.

Mój cudowny świat runął, niczym misterna budowla z kart, a tak się przecież starałem. Pamiętam, jak przed laty, w podwarszawskim Świdrze, na letnisku znajomy mamy chciał nam zrobić zdjęcie. W nagłym popłochu, niepostrzeżenie schowałem się w piwnicy. Dlaczego? Całym sobą drząc, czułem śmiertelne zagrożenie. Zdjęcie przecież, fotografia ukaże wszystkim prawdę: – że ja, to „nie ja”. A przecież nie było innego świata, w którym mógłbym żyć, nie było innych rodziców, a jeżeli nawet byli, to tak nieosiągalnie

daleko, podobni do umykających Galaktyk. Adonai! Cóż mogłem innego uczynić? Ukryłem się.

Ból chwycił mnie ze zdwojoną siłą – O Jezu!.. Siostrzo! – zawyłem. Tupot nóg. Przez współmrużone oczy rozpoznałem lekarzkę.

– Ksiądz już jest! Zdążymy jeszcze panu zrobić zastrzyk. – Podwinęła sprawnie rękaw koszuli. – Dobre żyły – szepnęła i wklęła się igłą.

– Chce pan czegoś? – zwróciła się do mnie. Kiwnąłem przecząco głową. Kroki oddaliły się.

Czego chcę – Wiedziałem Kogo chcę... Chcę być bliżej Ciebie... Adonai, El Szadaj, Boże Miłosierny... Nie wygody, przyjemności, sukcesu, nie pieniędzy, zdrowia, uznania, ale być bliżej Tego, który mnie kocha takim, jakim jestem. W mojej biedzie, poniżeniu, cierpieniu, mojej słabości i upadkach, w moim egoizmie i samolubstwie.

– Jestem synu!

Głos dobiegał z zewnątrz mnie. Przepojony niewysłowioną słodyczą. Była w nim dobroć i nadzieja. „*Nikt nie może zobaczyć Boga i pozostać żywym*” – Coś takiego jest w Biblii.

Otworzyłem jednak oczy i spojrzałem. Przedemną w świetlistej, tęczącej aureoli stał Kapłan, odziany w sutannę z najczarniejszej czerni. Wokół szyi i w kierunku serca spływał skrawek nieba fioletowo błękitny. Broda, wąsy, włosy pełne były rozbłyskujących, promiennych gwiazdek.

Dostrzegając me pełne zachwyty, zdumienie, staruszek – kapłan uśmiechnął się dobrotliwie i jakby przepraszając, wyjaśnił:

– Za oknem szaleje straszliwa burza, próbowałem wezwać taksówkę, ale nie jeżdżą. Przybiegłem więc na pieszo.

Staruszek kapłan miał około osiem-

dziesięciu lat. Skąd miał tyle siły, aby biec przez nawałnicę. Światło i woda, przemoczona do cna sutanna, tuła; to wszystko wywarło u mnie wrażenie cudownego obrotu, niezaprzeczalnym jednak cudem był On.

– Ojciec – wyszeptalem.

– Nic nie mów, nie męcz się – wyszeptał... Jeśli możesz, módl się w duchu. Staruszek zatonął w głębokiej modlitwie. Po chwili namaścił mi czoło olejami świętymi, coś jeszcze powiedział, ale tego już nie słyszałem. Ze zdziwieniem i wciąż narastającą radością odkrywałem swą nową postać. Tak to już chyba jest, kiedy zdarza się coś niepowtarzalnego w życiu człowieka, kiedy dzięki nowej, nieznannej Energii doznajemy przeistoczenia. Co to? Łaska?, Miłość?, Bóg. Na pewno coś tak Wielkiego, że trwamy w niemym, zachwycającym osłupieniu. Bo przecież nie ma na to słowa, nie ma czasu, aby natychmiast paść na kolana, nie ma możliwości, aby pojąć, a tym bardziej zrozumieć. Teraz wszystko stało się inne, wszystko poprzedza radość, w tym nawet moje cierpienie i żal, że znów nie zdążę się pożegnać z najbliższymi.

Jak wtedy, kiedy jeszcze nie umiałem mówić, ale mogłem już kochać i płakać.

Łoże nagle ruszyło. Kątem oka dostrzegłem jakąś pokątną białą postać. Czyżby gąsior?

– Jedziemy na Blok Operacyjny – męski głos. Pielęgniarka. W oddali widać było zresztą napis: „B.OK. OPERA..CYJ...”.

Krzyżówka? – „*Cyj bok i komu wyjdzie?*” Drugie to wiem – Opera, to na pięć liter. Nagle pojąłem, to przepalone żarówekki pod literami. Zrobiło mi się, nie wiedzieć czemu, swojsko. Teraz nawet jeśli trafię do piekła, to zabraknie węgla.

No, wreszcie pan jest! – powitał mnie główny chirurg, przyjaźnie. Zaczynamy. Narkoza. Podłączono do mnie kil-



ka aparatów. Pistacjowa doktor w okularach zwróciła się do mnie, z nieoczekiwaną prośbą

Niech pan teraz bez przerwy mówi, abyśmy wiedzieli, kiedy pan zaśnie.

Komfort! – przebiegło mi przez myśl. – W końcu sobie pogadam. – Czy jest tu gąsior? – spytałem. Salwa śmiechu.

Ja jestem Gąsior. Alicja Gąsior, anesteziolog.

A czy szczybie? Sala: – Jak cholera. (Koniec sceny) Zasnąłem.

Oni kroili, a ja ulatywałem w Wieczność.

Nie w kosmos, ten widziany oczyma astrofizyków ukazuje obrazy sprzed miliardów lat, nie w świetliste tunele parapsychologów, ale w cudowny, tętniący życiem, Wszechświat. Odlot w Wieczność.

Czułem się zupełnie bezpieczny, byłem niczym refleks lusterka, padający raz tu, raz tam, wszędzie, gdzie zawiodła mnie ciekawość, zachwyty, bezkresne zapatrzenie.

Nie byłem duchem, ani materią, ale znacznie czymś pierwotniejszym, czymś, z czego powstało wszystko.

Byłem niemowlęciem Wszechświata.

Może to był powód, iż otaczała mnie zewsząd miłość. W oka mgnieniu przemieszczałem się o miliony lat świetlnych. Jak to jest? Niewypowiedzianie!.. Uwierzcie mi.

Muzyka bytu pomnaża w tobie, biegnącym przez nią radość, jednocząc was nawzajem. Krążysz w nieprzeliczonych światach. Miliardach Galaktyk z miliardami gwiazd w każdej. Pojmujesz, w najwyższym zachwyceniu, że nie liczy się nośnik życia, ale wspólną wszechogarniającą świadomość istnienia.

Łączy je, poprzez ciebie, ze sobą. Są już jednym i drugim i ciągle tym samym. Cała dał zebrana w najbliższej intymno-

ści. Piękno rzeczy samo w sobie. Zupełne. Rozrywające serce, nim się stały oczy. Dar ponad wszelkie dary, udział w radości Boga. Nie da się tego wypowiedzieć. Sam widział! – to nie do pomyślenia.

*A jednak stało się i nagle jesteś tu i Tam.*

*Tkwisz w kropli i w Oceanie.*

*ON odpływa.*

*Kropla pozostaje.*

*Piach sekund,*

*...piach sekund, powraca czas.*

*Wraca życie.*

*Za chwilę otworzę oczy.*

*Jedne po drugich ulatują horyzonty.*

*Ziemia.*

*O! Jakże małe jest Ziemia.*

*Łóżko szpitalne, ciało, budzę się.*

*Okno naprzeciw wzroku.*

*Zielone drzewo.*

Witaj Bracie Drzewo – szepczę. Myślę: – znów mam trzy lata. Obok jest Bóg. Powróciłem. Z oddali nadbiega terazniejszość. Otworzyła się przeszłość, otwiera przyszłość. Wiem, co było i co będzie. Za chwilę wejdzie Barbara.

Skąd wiedziałas? – Spytałem w radośnym zachwyceniu.

Wiedziałaś – odpowie. W naszych oczach spotka się niewypowiedzialna przestrzeń. Życie i miłość – to jedno. Cała reszta jest tylko odejmowaniem sensu.

**Krzysztof Radliński**

Łódź, 4 września 2006 r.

[1] Zachariasz – w hebrajskim: „Tylko Bóg zna Twoje imię”.



Ў нас на Wołyniu - У нас на Волині

## KRZYŻ W KISIELINIE



Pod koniec kwietnia 2017 r. wolontariusze z organizacji społecznej „Wołyń pamiętamy” (Kazimierz Dolny, Polska) i Kulturalno-edukacyjnego Centrum im. Tomasza Oskara Sosnowskiego (Równe, Ukraina) wspólnie porządkowali stary polski cmentarz i kościół we wsi Kisielin (Кисилін) na Wołyniu. Wspólna praca tych dwóch partnerskich organizacji, już nie po raz pierwszy, ma na celu uporządkowanie opuszczonych polskich cmentarzy na Wołyniu.

Tym razem pracowaliśmy wspólnie: na cmentarzu została skoszona trawa, obcięto gałęzie dużych drzew i krzaków. Również wspólnie kontynuowaliśmy częstą jeszcze w zeszłym roku akcję ustawiania krzyży w opuszczonych i zniszczonych kościołach Wołynia. Ustawienie krzyża w środku kościoła po 70 latach

zniszczenia i ponizenia Świątyni Pańskiej, jest niezwykle symbolicznym wydarzeniem, zarówno w życiu Polaków na Wołyniu, jak i w życiu miejscowej ludności. Miejscowi Ukraińcy podchodzili i dziękowali wolontariuszom za to, że świątynia znów ma swój symboliczny krzyż. Słowa dużej wdzięczności należą się Konsulatowi Generalnemu RP w Łucku, na czele z nowo mianowanym konsulem generalnym Panem Wiesławem Mazurem. Dziękujemy za wsparcie i pomoc dla organizacji polonijnej Kulturalno-edukacyjne Centrum im. T.O. Sosnowskiego, za udostępnienie narzędzi dla przeprowadzenia prac porządkowych.

Planujemy ustawić drewniane krzyże o wysokości 3 metrów i tablice informacyjne na wszystkich zapomnianych polskich cmentarzach i zrujnowanych kościołach na Wołyniu. Będą one przypominać o tym, że tam znajdują się miejsca święte dla Polaków.

*Jarosław Kowalczyk*

P.S. Zdjęcia ze wspólnej pracy można oglądać na YouTube: „Співпраця в с. Кисилін на Волині – впорядкування цвинтарів”. // <https://youtu.be/QvCgwIE7sUc> oraz na stronach naszych organizacji na Facebook’u.



У нас на Волині - У нас на Волині

## KRZYŻE W TUCZYNI



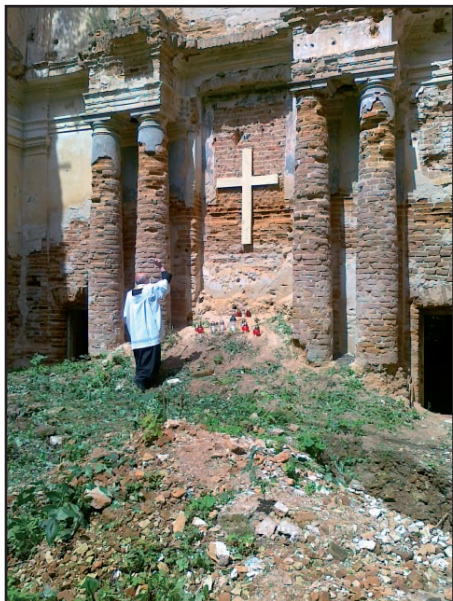
Modlitwa w zrujnowanym kościele

Fot. Archiwum

Niestety dobiegła końca VI edycja porządkowania polskich cmentarzy na Wołyniu przez członków Stowarzyszenia „Wołyński Rajd Motocyklowy”. Wspólnie z Centrum Kulturalno-Edukacyjnym z Równego wolontariusze porządkowali cmentarz i teren wokół kościoła w Tuczyńcu. Uwieńczeniem kilkudniowej pracy było usadowienie Krzyży przygotowanych przez Jarosława Kowalczyka. Jeden został postawiony na cmentarzu dwa pozostałe na ścianie ołtarzowej oraz na ścianie po lewej stronie wejścia do zrujnowanego kościoła. Krzyże poświęcił ksiądz

Władysław Czajka. W uroczystości wziął udział także ks. Witold-Yosif Kovaliv oraz przedstawiciele KG RP z Łucka a także mieszkańcy Tuczyńca.

Na stronie Stowarzyszenia „Wołyński Rajd Motocyklowy” na Facebook’u można było zobaczyć zdjęcia i przeczytać podziękowanie: „Dziękujemy wolontariuszom WRM którzy poświęcili swój czas: Wioletcie i Wioletcie, Zibiemu, Pawłowi, Łukaszowi i Komandorowi. Będziemy monitoringować w sprawie wycięcia drzewa nad żołnierskich kwater w Kowlu które może dokonać poważnych zniszczeń. Ile moż-



na było dokonać z tym drzewem Łukasz uczynił za pomocą sprzętu alpinistycznego. Dziękujemy KG RP w Lucku za pomoc i wspólną pracę”.

Na łamach „Wołania z Wołynia” będziemy opisywać tę i inne inicjatywy. Kolejny raz zaprosiłem członków Stowarzyszenia „Wołyński Rajd Motocyklowy” do pomocy w porządkowaniu jednego z cmentarzy katolickich w Ostrogu, który ocalał.

*ks. Vitold-Yosif Kovaliv*



**Poświęcenie krzyża wewnątrz zrujnowanego kościoła w Tuczynie**

*Fot. Włodzimierz Filarowski*



**Modlitwa na opuszczonym cmentarzu w Tuczynie**

*Fot. Jarosław Kowalczyk*

Dziedzictwo - Спадщина

# WOKÓŁ IDEI JAGIELLOŃSKIEJ BŁ. WŁADYSŁAWA BUKOWIŃSKIEGO

„Służba drugiemu a nie panowanie  
jednego nad drugim  
– oto hasło nowego świata”.  
Ks. Konstanty Michalski

Idea jagiellońska wyznaczająca, jak to sformułował bł. ks. Władysław Bukowiński, „*pewien sposób*” współzycia między narodami oparty na zasadach chrześcijańskich przewijała się od XIX w. i nadal powraca [1] w projektach politycznych, w refleksji nad naszymi dziejami, w twórczości literackiej [2]. Myśl państwa, dla której składników szukano w ideałach, priorytetach ustrojowych i polityce międzynarodowej Rzeczypospolitej Obojga Narodów, wynoszona na sztandary w okresie zrywów powstańczych, ożyła w latach odzyskiwania niepodległości w federacyjnych planach i działaniach Józefa Piłsudskiego. Powraca i dzisiaj, i staje się częścią osobistego życia, pragnienia zrozumienia Ojczyzny i swojej rodziny. Dlatego, mimo że nie jestem ani historykiem, ani znawcą dziejów Kościoła – ośmielam się poruszyć te sprawy, z którymi jakoś wielorako przyszło mi się stykać, choć historyk zrobiłby to o wiele lepiej. Tym bardziej, że stanowią drogę do tego, „*by bardziej zrozumieć*” osobę i przesłanie niedawno wyniesionego na ołtarze ks. Władysława Bukowińskiego. On sam jakby „*uchyla drzwi*”, kieruje uwagę na rzeczy ważne, a może przeoczone w naszej edukacji.

Oczywiście, na rozumienie i sposób podejmowania problematyki „*jagiellońskiej*” wpływała sylwetka duchowa „*autora*” oraz sytuacja polityczna. Inne były



realia w okresie ustalania granic terytorialnych Polski i działań państwowotwórczych Ukrainy, Litwy i Białorusi, inaczej stawiano akcenty w okresie dwudziestolecia międzywojennego. Chyba można powiedzieć, że w duchu personalistycznym, jako odpowiedź osoby na „*dar i zadanie*” rozważał ideę jagiellońską w swojej twórczości i myśleniu o Polsce Karol Wojtyła.

Na ideę jagiellońską powoływał się, przywoływany na łamach „Wołania z Wołynia” Henryk Józewski, podczas wojny polsko-bolszewickiej członek rządu Semen Petlury, zwolennik rozwoju ukraińskiej samorządności, wielki polski patriota i wojewoda w l. 1930-1938 oraz blisko związany z nim tygodnik „Wołyń” (Łuck, 1933-1939), redagowany przez Joachima Wołoszynowskiego, a w l. 1937-1938 (faktycznie) przez Józefa Łobodowskiego. Ten poeta związany przed wojną z Wołyniem swoje działania na niwie publicystyczno-literackiej na rzecz zbliżenia mię-

dzy narodem polskim a ukraińskim rozwijał również w środowisku prometejskim, związanym z takimi nazwiskami jak prof. Oskar Halecki, Marian Zdziechowski czy Włodzimierz Bączkowski, a skupiającym emigrantów z krajów znajdujących się pod panowaniem bolszewickim: Ukrainy, Białorusi i Kaukazu działających na rzecz odzyskania lub uzyskania niepodległości. Później działania te Łobodowski kontynuował na emigracji [3].

W okresie dwudziestolecia najważniejszą była sprawa sprawiedliwego dla wszystkich i silnego ustroju gospodarczo-politycznego, w którym wypowiedziałyby się słuszne dążenia narodowe mniejszości. Związałyby to je bardziej z ideą wspólnego państwa. Tak w 1925 roku pisał młody Bukowiński jeszcze jako student prawa i, mówiąc językiem współczesnym, politologii w „Jednodniówce. Na wschodniej rubieży” [4]. Powoływano się też na ideę jagiellońską w konstruowaniu projektów polityki regionu. Ks. Bukowiński przenikliwie oceniając zagrożenia oraz wartość ówczesnych sojuszy międzynarodowych, w artykule zamieszczonym w „Życiu Katolickim” w 1938, projektował sojusz państw Międzymorza złożony z państw bałtyckich, Polski, Rumunii, „może i Węgier”, a po rozpadzie Rosji bolszewickiej, również i niepodległej Ukrainy, Białorusi, Gruzji, republik kozackich i tatarskich: „krymskiej i tatarskiej” [5]. Dla wojewody Józewskiego ważne było rozwijanie lokalnej, odrębnej kultury społeczności zamieszkującej kresy. Na tradycję myśli Marszałka powoływał się „Biuletyn Polsko-Ukraiński” (1932-1939), redagowany w Łucku przez Włodzimierza Bączkowskiego i czytany przez przybyłego na Wołyń w sierpniu 1936 błogosławionego [6], a także „Życie Katolickie” (Łuck, 1930-1939) redagowane przez ks. Zygmunta Chmielnickiego, a w latach

1936-1939 również przez ks. Władysława Bukowińskiego.

#### POEZJA I WSPOMNIENIA

Niech trzy krótkie cytaty posłużą jako ilustracja pewnej wizji Wołynia, i związków Ukrainy i Polski. Poeta Zygmunt Rumel (1915-1943) współpracujący ze wspomnianym Biuletynem pisał:

„Dwie mi Matki-Ojczyzny hołubiły  
głowę –

Jedna grzebień bursztynu czesala  
we włos

Druga rafy porohów piorąc koralowe  
Zawodziła na lirach dołą ślepią – los...  
(...)

Dwie mnie Matki-Ojczyzny  
wyuczyły mowy –”  
(„Dwie matki”)

Józef Łobodowski:

„Dawna ojczyzna nasza, matko  
Ukraino!

Ukrzyżowania i w strzepy rozdarta.

Otom me słowa rozstawiał  
na wartach,

aby nikogo spośród was nie minął  
ten wicher, co nieraz chmielem zapie-  
nił się w głowach,

gniewem odezwał się i buntem  
gluchym,

a kiedy indziej karmazyny i kożuchy  
wspólną procesją wiódł  
do Poczajowa”.

(„Testament mój”)

Słowa Henryka Józewskiego przytoczę za Ireną Szybowską. Wojewoda, który był politykiem o zdecydowanych poglądach, konspiratorem, żołnierzem, ale i malarzem o naturze trochę może mistycznej, wspominał w swoich pamiętnikach:

„Parę tylko osób potraciło ukrytą przed  
wzrokiem przeciętnego Polaka złotą «wo-

łyńską strunę». Pamiętam moje spotkanie z Sieroszewskim (...) O Wołyniu «wiedział» Stanisław Stempowski. O Wołyniu «dowiedziała się» Maria Dąbrowska (...) Ze wzruszeniem przypominam sobie, jak w Łucku pracowałem z Łobodowskim» [7].

Ks. Władysław Bukowiński poetą nie był. Był kapłanem i, jak pisał Karol Górski, „pozostał zawsze prawnikiem”, a to wyznaczało inne obszary działania, ale i literatura, której „Życie Katolickie” poświęcało sporo miejsca, przybliżała wtedy i przybliżyła teraz rozumienie Ojczyzny.

### „ŻYCIE KATOLICKIE”

Tutaj właśnie idea sprawiedliwego, silnego państwa, w którym wszystkie zamieszkujące go narody są równe w swojej godności i prawach, a sprawa narodów sąsiednich cierpiących jarzmo bolszewickiej niewoli jest „zadana sumieniu”, splatała się ściśle z myślą o przedmurzu chrześcijaństwa oraz odnową i pielęgnowaniem tradycji unii kościelnej między oboma obrządkami. Przywoływano tradycję unii florenckiej między Kościołem wschodnim a zachodnim z 1439 r. i unii brzeskiej z 1596 roku. W maju 1937 r. ukazał się artykuł prof. Oskara Haleckiego „Państwo polskie a Kościół wschodni w świetle historii”, który współczesnemu Przedmurzu chrześcijaństwa przypomina jego wielką historię. W obchodzonego w styczniu 1938 dorocznym Tygodniu modłów o zjednoczenie Kościołów pismo zamieściło obszerny tekst ks. W. Urbana „Praca metropolity Rutskiego dla jedności kościelnej” (rok wcześniej obchodzono 300-lecie jego śmierci), poświęcony Metropolicie kijowskiemu z XVII wieku, Józefowi Welaminowi Rutskiemu. Postać ta stała się wzorem dla grekokatolickiego Metropolity Lwowskiego, abpa Andrzeja Szeptyckiego [8] w jego działaniach na rzecz odrodzenia i jedności Kościoła Po-

wszechnego [9]. W związku ze zbliżającą się kanonizacją św. Andrzeja Boboli (17 kwietnia 1938 roku), „kresowego wychowawcy i apostoła sprzed trzech wieków” [10], bardzo szeroko omawiano jego postać i kult. Ks. Chmielnicki pisze o aktualności na Wołyniu jego przesłania i oddziaływaniu „świętego Patrona naszego w wielkiej sprawie nawracania Wschodu”. („Mamy Świętego!” [11]) Jadące z Wołynia do centralnej Polski wycieczki i pielgrzymki nawiedzały w Warszawie jego relikwie, o czym pisała gazeta.

Tradycję jagiellońską przypominało w piśmie z okazji rocznic zwycięstwa nad bolszewikami roku 1920, jubileuszu 400-lecia Piotra Skargi, rocznic Konstytucji 3 Maja, Powstania Styczniowego: najczęściej piórem ks. Chmielnickiego, a od 1936 – również ks. Bukowińskiego. Podkreślano udział duchowieństwa w Powstaniu, np. w numerze styczniowym 1938 niepodpisany artykuł „Udział duchowieństwa polskiego w Powstaniu 1863” [12] (w tymże numerze artykuł ks. Chmielnickiego „75-lecie Powstania Styczniowego” [13]. Należy też pamiętać, że historycznym kontekstem, z którego negatywnymi skutkami stale się zmagano, były dopiero co minione czasy carskiego ucisku bardzo dotkliwego na ziemiach włączonych bezpośrednio do carskiego imperium oraz kryzys gospodarczy, który na ubogim Wołyniu bardzo odczuwano.

Ważne aktualne zagadnienia postulowanej i odnotowywanej wzajemnej współpracy, ale i współzawodnictwa na niwie gospodarczo-społecznej oświetlano katolicką zasadą miłości bliźniego, w sytuacjach konfliktowych – miłością nieprzyjaciół, zawsze w kontekście poszanowania miłości i nadrzędnej wolności wyboru.

Nie mogą dziwić zdania ks. Chmielnickiego na temat jakości więzi między

mieszkańcami Wołynia, poddawanej często refleksji: *„Tymczasem Chrystusowej nauki miłości bliźniego zastąpić nie zdoła nic, żaden interes wspólny, ani narodowy, ani państwowy, ani klasowy. To wszystko wytwarza więź tymczasową, przemijającą, ulegającą wahanom. Gdy więź przyniesie lub osłabnie, znowu okaże się naga prawda pogańska: człowiek dla człowieka jest wilkiem. Tu trzeba zmienić samą naturę ludzką, a natury nie zmienia wspólność interesów doczesnych, lecz tylko jedno: nadnaturalne, nadprzyrodzone ujęcie życia. Jeżeli tego jednego w życiu swoim nie przywrócimy, nieufność i niechęć społeczna będzie się wzmagała między nami, doprowadzając do bolesnych rozdźwięków”* [14].

Również ks. Bukowiński poruszając trudne sprawy społeczne, sięga do owych fundamentów wiary, na których opiera się cały porządek społeczny. To uniwersalizm „przedmurza chrześcijańskiego”.

## JEDNOŚĆ WIARY

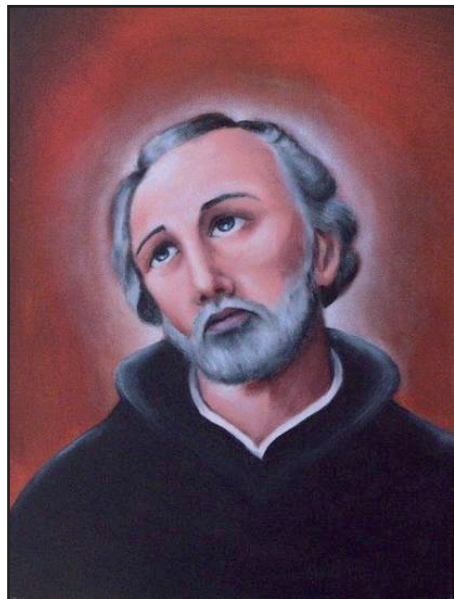
Jak bardzo problemy były skomplikowane i budzące wiele emocji między narodowościami, hierarchią kościelną obu wyznań oraz partiami politycznymi – świadczy choćby historia Hrynek – małej wołyńskiej wsi, w której na skutek uświadomienia sobie polskich i katolickich korzeni 110 z 600 mieszkańców przeszło katolicyzm – wróciło do korzeni wiary przodków przymusowo „*nawróconych*” przez carat na prawosławie. Wydarzenie to, z ogromnym wzruszeniem i entuzjazmem opisywane piórem ks. Chmielnickiego [15] stało się następnie przyczyną interpelacji poselskiej posta ukraińskiego i przedmiotem postępowania sądowego. Redaktor naczelny na łamach pisma rzeczowo, obszernie i precyzyjnie, po kolei odpierał wszystkie zarzuty prawosławnej gazety „Cerkwa i Narid” a następ-

nie ukraińskiego organu WUO „Wołyńskie Słowo” zarzucających Kościołowi stosowanie administracyjnego przymusu. Gazeta publikowała tekst interpelacji i wyrok sądu rozwiewający zarzuty strony przeciwnej, ale niestety historia Hrynek stała się chyba przysłowiowa. Stała się też chyba, jak zdołałam wyczytać, jednym z powodów odwołania wojewody Józewskiego. Józef Łobodowski w swoich wspomnieniach [16] sytuację w Hrynkach naświetla inaczej niż ks. Chmielnicki – podaje jako przykład rewindykacyjnego, szkodliwego postępowania administracji polskiej. Po latach powtarza zarzut strony prawosławnej „*masowości*” i przymusu nawrócenia, choć m.in. te zarzuty szczegółowo odparł w tamtym czasie redaktor „Życia Katolickiego” – oraz wyrok sądowy. Dla Łobodowskiego wydarzenia w Hrynkach to niejako skutek podejścia Narodowej Demokracji do spraw narodowościowych, kiedy właśnie ks. Chmielnicki odzegnował się wprost od sposobu myślenia właściwego tejże partii! W artykule „*Wyciągnięta ręka*” [17] napisanym z okazji wspomnianego Tygodnia modłów, wkrótce po wydarzeniach w Hrynkach, tłumaczy w przejmujący sposób pragnienia i starania katolików o jedność Kościoła. Tekst ten jest wielką apologią, obroną jedności wiary katolickiej i zaangażowania misyjnego Kościoła. Jeśli mogłabym sparafrazować znane wyrażenie ks. Konstantego Michalskiego, że w sprawach wiary „*tajemnica tłumaczy tajemnicę*” – tutaj w sposobie ujęcia tematu – miłość tłumaczy się przez miłość – i wykład wiary Kościoła.

Może warto w tym momencie przytoczyć też słowa ze wspomnianej odezwy Prymasa Hlonda przed kanonizacją św. Andrzeja Boboli, które kreśliły zadania dla Kościoła zwłaszcza na Kresach. Cytuje ją również ks. Władysław Buko-



wiński w artykule „Wielkie wskazania błąd. Andrzeja Boboli”. Dla Księdza „kresy wschodnie to niezmiernie pole do pracy religijnej, kulturalnej, państwowej i narodowej – to teren odwiecznego polskiego posłannictwa na Wschodzie”, zwłaszcza zaś w dziedzinie pracy „dla jedności Kościoła wśród obecnych prawosławnych, z których wielu jest potomkami Polaków i katolików obrządku łacińskiego, bądź też unitów, przemocą rządu carskiego oderwanych od katolicyzmu” [18]. Prymas pisał: „Wielkim wskazaniem świętego Andrzeja jest nasze posłannictwo religijne i kulturalne na kresach wschodnich. Bez sprzeniewierzenia się swej misji dziejowej nie możemy uchylać się od zadań, które nam Opatrzność tam wyznaczyła i nie możemy odstępować ich cudzoziemcom. To powołanie nasze, nasz polski obowiązek. Za wzorem św. Boboli powinniśmy pracować dla jedności Kościoła wśród potomków bohaterskich unitów poprzez walkę, szczerze, bez lęku, bez pogłębiania nieporozumień obrządkowych, bez spychania tego wielkiego zagadnienia na tory współzawodnictwa o prestiż i wpływy. Fatalnym błędem byłoby tworzenie polskiego prawosławia na cmentarzysku unii, zroszonym krwią katolickich męczenników. Śladami Boboli i tylu zapamiętałych szaleńców apostołskich, którzy w najniebezpieczniejszych czasach podtrzymywali na wschodnich rubieżach myśl jedności kościelnej, niech tam u boku dostojnych Biskupów staną do misyjnej pracy najlepsi z duchowieństwa, najgorliwsi spośród zakonników, najbardziej uchrystusowane siostry, najidealniejsi świeccy działacze”. Warto tu podkreślić, że kilka razy – a po raz ostatni w artykule z 16 kwietnia 1939 roku „Wobec uchwał przeciwnijnych” – redaktor naczelny broni unii przed zakusami jej likwidacji ze strony niektórych narodowych kręgów politycznych „zwią-



Św. Andrzej Bobola

zanych z polityką państwową” (w tym wypadku OZN). W tym tekście tłumaczy czytelnikom istnienie różnych obrządków katolickich, broni prawa do ich posiadania i odwołuje się do godności sumienia, tak ważnego składnika jagiellońskiej idei: „Nie wolno narzucać obcego [rzymskokatolickiego] dla nich [chcących zmienić wyznanie prawosławnych] obrządku. Wedle sumienia chrześcijańskiego uczynić nam tego nie wolno. Wedle sumienia – powtarzamy, a każdy katolik rozumie, co to znaczy. Podobnie ma się rzecz z proponowaną nam w uchwałach likwidacją planów unijnych”. Przywołując zabiegi wielkich postaci o jedność Państwa: Władysława Jagiełłę i Jana Zamoyskiego, przestrzega przed upolitycznieniem w dziele unii, które „jest jej wykoślawieniem”. Tekst kolejny raz uprzątnia nam złożoność ówczesnej sytuacji unii: „Czyżto religijnemu dziełu jedności kościelnej

zawsze stawały na przeszkodzie względy natury politycznej (...) Niestety wytworzyło się mniemanie, że ludność grekokatolicka przoduje w swym separatyzmie ukraińskim przed prawosławną. Z drugiej strony prawosławie znakomicie wykorzystuje tę okoliczność, deklarując się z całkowitą lojalnością dla Rzeczypospolitej. To stawia sprawę unii wobec wielkich trudności, stwarza dla niej moment wyjątkowo niepomysłny. My sami, będąc z pobudek religijnych najgorętszymi zwolennikami unii, musimy się oglądać, aby do pracy unijnej nie wtargnęły elementy polityczne, działające na szkodę Rzeczypospolitej, nam drogiej jako Ojczyzna, całemu Kościołowi jako przedmurze chrześcijaństwa. (...) Unia na Wołyniu jest dzisiaj skromnym ziarenkiem, któremu mroźne wiatry rozwijać się nie dają. Nie trzeba jednak niszczyć tego ziarenka. Gdy wiatry się zmieniają, gdy wrogie nacjonalizmy zlagodnieją, Unia będzie mogła oddać Rzeczypospolitej swoją usługę, usuwając spośród jej obywateli tarcia religijne. Nie jest ona bowiem dziełem nienawiści, lecz miłości Chrystusowej, a to co z tej miłości się poczęło, jest naprawdę twórcze i trwałe”.

Ks. Zygmunt Chmielnicki z radością i prostotą odnotowuje przykłady wyciągniętej ręki ze strony prawosławnych. Tak raduje się z uznania ze strony hierarchii prawosławnej dla Listu Apostolskiego Episkopatu katolickiego z zakończonego właśnie Synodu kościoła katolickiego, który określono jako „jeden z najbardziej ciekawych dokumentów naszej epoki”. Pisze ks. Redaktor: „To jest forma nawracania, której nikt nie będzie mógł nic zarzucić. Odlączonych od nas chrześcijan będzie pociągala nasza siła wewnętrzna. Będą oni czuli, że wśród nas żyje naprawdę Bóg i że Go szukać należy. Nie wszyscy to może zrozumieją, ale wszak nam chodzi

najbardziej o ludzi dobrej woli” [19]. Dokumenty soborowe zresztą prezentowano potem w kolejnych numerach pisma.

Ksiądz Bukowiński wiele razy podkreśla potrzebę siły Rzeczypospolitej i jedności wiary oraz jej roli jako przedmurza chrześcijaństwa [20]. W jednym z artykułów „*Jasieniec, wieś polska*” [21] relacjonuje i dzieli się radością z powrotu do wiary przodków mieszkańców wsi. Ważne, by trochę zrozumieć kontekst tych słów.

I choć słowa powyżej przytoczonego artykułu nie wyszły spod pióra przyszłego Błogosławionego, wydaje się, że można odnaleźć ich ducha również w późniejszej, bardzo bliskiej więzi z grekokatolikami – kapłanami i wiernymi w Kazachstanie. Jeśli tak wolno stwierdzić, to prawdziwie, po męczeńsku zrealizowana jedność z braćmi, których wcześniej na terenie kresowym rozdzielała często polityka. Długą listę nieznaną i znanych nazwisk, często już błogosławionych, symbolicznie otwierają postacie bł. Grzegorza Chomyszyna, bpa ordynariusza diecezji stansławowskiej i jego sufragana bpa Iwana Łatyszewskiego. Zostali pewnego listopadowego dnia 1945 r. wtrąceni do celi kijowskiego więzienia, w której przywitani ich Sługa Boży bp. Adolf Piotr Szelażek, ks. Bronisław Drzepecki, ks. Józef Kuczyński i bł. Władysław Bukowiński, który to spotkanie opisał po latach [22]. Bp Grzegorz Chomyszyn zmarł po miesiącu, 28 grudnia, z wycieńczenia w więzonym szpitalu. O przyjaźni z kapłanami grekokatolickimi w latach późniejszych, o kościelnej jedności napisano już sporo, tutaj tylko chciałabym przywołać te fakty w kontekście myśli jagiellońskiej. Podobnie można by nią oświetlić łagierne rekolacje i spotkania ekumeniczne, w których brali udział więźniowie innych wyznań a nawet innej wiary. Ks. Aleksan-

der Posacki w swojej książce o Apostole Kazachstanu [23] analizuje szeroko znaczenie uniwersalne, ewangeliczne postaci Błogosławionego i tych inicjowanych przez niego spotkań, nie tylko dla Kościoła, ale i społeczności ludzkiej w ogóle.

### Maria Kalas

Przypisy:

[1] Np. Marek Jan Chodakiewicz, *„Międzymorze”*, Biblioteka Wolności, 2016.

[2] Można wymienić tu przykładowo twórczość poetycką, przekładową i publicystyczną Józefa Łobodowskiego, z jego *„Złotą Hramotą”* i *„Pieśnią o Ukrainie”*, ale i w późniejszych latach wątkami hiszpańsko – andaluzyjskimi; tetralogię Stanisława Vincenza *„Na wysokiej poloninie”*, w której dialog i przyjaźń między przedstawicielami wielu narodów żyjących niegdyś na rozległym obszarze I Rzeczypospolitej stanowi o głębi kultury (ze słowa wstępnego do *„Barwinkowego wianka”* – *„Pieśń ta wyrosła z ziarna, posiewu Wierchowiny (...). Oby stała się słowem dla świata. Nie tylko naszej Wierchowiny, nie tylko Polski i Ukrainy, lecz słowem całej wynurzającej się z fal Atlantydy, jej darem”).* Idea jagiellońska współtworzy *„liturgię dziejów”* poematu *„Myśląc Ojczyzna...”* i *„Stanisław”* i *„Wigilia Wielkanocna 1966”* Karola Wojtyły.

[3] O politycznej działalności Łobodowskiego w kraju i na emigracji zob. Paweł Libera, *„Józef Łobodowski (1909-1988). Szkic do biografii politycznej pisarza zaangażowanego”*, *„Zeszyty Historyczne”*, Instytut Literacki, Paryż, 160/2007, s. 3-34. Zapisem jakby wielkiego poetycko-politycznego tournée po środowiskach emigracji ukraińskiej w USA i Kanadzie jest książka zredagowana przez Barbarę Truchan *„Naród jest nieśmiertelny”*, Poznań 1996.

[4] Władysław Bukowiński, *„O przyszłość Sprawy kresowej”*, w: *„Na wschodniej rubieży. Jednodniówka Akademickiego Koła Kresowego”* z maja 1925, za: Władysław Bukowiński, *„Na pograniczu dwóch światów. Publicystyka 1936-1939”*, Biały Dunajec – Ostróg, 2016, s. 20-26.

[5] Zob. Władysław Bukowiński, *„Z zagadnień polskiej polityki zagranicznej”*, w: *„Na pograniczu dwóch światów...”*, s. 248-251.

[6] Władysław Bukowiński w liście do Marii i Włodzimierza Holejków pisze o wzrastającym na Wołyniu antysemityzmie Polaków i antysemityzmie połączonym z antypolonizmem Ukraińców: *„Jest to rzecz trudna do naprawienia, bo niestety brak po obu stronach ujmowania sprawy wzajemnych stosunków z szerszej, jagiellońskiej perspektywy historycznej. Mówiąc językiem biuletynu polsko-ukraińskiego, pseudoidea «walki o miedzę» góruje tu nad ideą jagiellońską. Nie znaczy to jednak, by ta ostatnia nie miała tu swoich gorących zwolenników, i to nie tylko w osobie piszącego te słowa”*, w: Władysław Bukowiński, *„Listy”*, Kraków 2007, s. 233.

[7] Henryk Józewski, *„Zamiast pamiętnika”*, *„Zeszyty Historyczne”*, Paryż 1982, s.59, cyt. za: Irena Szypowska, *„Złota wołyńska struna. O Łobodowskim w tygodniku «Wołyń»”*, *„Kresy”* 1991 nr 16, s. 55.

[8] By zobrazować więź między ideą państwa jagiellońskiego a unią kościelną może warto przytoczyć opis spotkania Metropolity Szeptyckiego z wielkim misjonarzem Indii, patriarchą Antiochii Władysławem Michałem Zaleskim. Ks. Walerian Meysztowicz, radca ambasad RP przy Watykanie, również za Piusa XI, pisząc o animozjach między Ukraińcami a Polakami, wobec których nieraz ambasada musiała zajmować stano-

wisko, wspomina: „Myślę dotąd, że metropolię Szeptyckiego niesłusznie oskarżano o główną odpowiedzialność w tej sprawie. Był on po prostu, jako Rusin z pochodzenia, Polakiem i Rusinem jednocześnie. Ukraińcem z wyboru, tak jak jego bracia byli narodowości polskiej. Byłem obecny przy niezapomnianym spotkaniu patriarchy Zaleskiego, który będąc Polakiem, nie przestał być Litwinem, z arcybiskupem Szeptyckim. Patriarcha wyszedł naprzeciw metropolicie: uśmiechali się. Pamiętam słowa Szeptyckiego: «Chcą mnie zrobić zdrajcą, ale ty przecie zrozumiesz, że ja nigdy nic nie chcę zrobić przeciw Rzeczypospolitej». Myślał na pewno o Rzeczypospolitej trojga narodów, w której było miejsce i dla Szeptyckiego Rusina, i dla Zaleskiego Litwina”. (Walerian Meysztowicz, „Gawędy o czasach i ludziach”, Łomianki 2012, s. 256-257.

[9] Por. Sofia Senyk, „Duchowy aspekt życia i działalności Metropolity Metropolity Szeptyckiego”, w: „Metropolita Andrzej Szeptycki. Studia i materiały”, pod red. Andrzeja A. Zięby, Kraków 1994, s. 105.

[10] „Odezwa J. Em. Ks. Kardynała Prymasa w sprawie kanonizacji Błg. Andrzeja Boboli”, „Życie Katolickie” z dnia 27 lutego 1938 nr 9, s. 130-131.

[11] Zygmunt Chmielnicki, „Mamy Świętego!”, „Życie Katolickie” z dnia 24 kwietnia 1938 roku.

[12] „Udział duchowieństwa polskiego w Powstaniu 1863”, „Życie Katolickie” z 23 stycznia 1938 nr 4, s. 51.

[13] Zygmunt Chmielnicki, „75-lecie Powstania Styczniowego”, „Życie Katolickie”, z dnia 4 stycznia 1938 nr 4, s. 49-50.

[14] Zygmunt Chmielnicki, „O uśmiech chrześcijański”, „Życie Katolickie”, 1936 nr 20.

[15] Aleksander Płazak, „Idea jagiełłońska w życiu i dziele Ks. W. Bukowińskiego”, Sympozjum Stowarzyszenia ks. Władysława Bukowińskiego „Ocalenie”, Kraków-Łagiewniki, 25 czerwca 2011 roku.

[16] Józef Łobodowski, „Żywot człowieka gwałtownego”, Warszawa 2014, s. 190-191.

[17] Zygmunt Chmielnicki, „Wyciągnięta ręka”, „Życie Katolickie”, z dnia 16 stycznia 1938, nr 3, s. 33-34.

[18] „Wielkie wskazania błg. Andrzeja Boboli”, „Życie Katolickie” nr 16 z 9 kwietnia 1938, w: „Na pograniczu dwóch światów...”, s. 215-219.

[19] Zygmunt Chmielnicki, „Apostolstwo spełnionego obowiązku”, „Życie Katolickie” z dnia 11 października 1936, nr 41, s. 641-642.

[20] Np. w artykule „Testament jedności narodowej” (nr 18 / 1937), „Wielkie wskazanie błg. Andrzeja Boboli” (nr 16/ 1938), czy „W obronie czci narodu” (nr 18/ 1938), w: „Na pograniczu dwóch światów...”.

[21] „Jasieniec, wieś polska”, w: „Na pograniczu dwóch światów...”, s. 262.

[22] Władysław Bukowiński, „Wspomnienia z więzienia o księdzu biskupie Adolfie Piotrze Szelażku”, w: Ks. Władysław Bukowiński, „Do moich Przyjaciół. Fragmenty spuścizny piśmienniczej”, zebrał i opracował ks. Witold Józef Kowalów, Biały Dunajec – Ostróg 2001, s. 11-25.

[23] Aleksander Posacki, „Apostoł Kazachstanu i Świadek Ewangelii Błogosławiony ks. Władysław Bukowiński”, Monumen 2017.



## Literatura - Література

## SEK

Była zimowa, mroźna, styczniowa noc 1944 roku, gdy przyszyliśmy do tej wioski. Wioska nazywała się Ratno, niedaleko Kamienia Koszyrskiego. Zmęczone okropnie. Ja z workiem na plecach, w którym była surowa szynka i trzydzieści świeżych jaj, no i mój ukochany jasiek, dzięki któremu mniej gniołła moje plecy szynka. Jaja już dawno popękały i zamarzyły – mróz był dwudziesto trzy stopniowy. Niestety zdjęć worka nie można było, ponieważ Mama przyszyła go płaszczą.

Rozlokowano nas na noc po chałtach ukraińskich. Znalazłam się z Mamą w jednej z nich. Wchodziło się do niej przez dużą, ciemną sień. W izbie było już pełno ludzi, wszyscy siedzieli na podłodze. Uderzyło nas gorąco i okropny, kwaśny odór potu. Jedyne, wolne miejsce, gdzie można było usiąść, było pod maleńkim oknem, na podłodze, naprzeciwko pieca. Mama usiadła, ja obok oparłam głowę o kolana Mamy i natychmiast zasnęłam.

Śni mi się sen, że jestem w tej samej izbie, ale sama. Widzę drzwi i wiem, że nimi wychodzę do zupełnie ciemnej sieni, w której są drzwi po lewej i prawej stronie. Ja we śnie wiem, że mogę wyjść tylko tymi, które są z prawej strony. Wbiegam do sieni, szukam drzwi, znajduję, odsuwam zasuwę. Wychodzę, znajduję się w maleńkim podwórzu, otoczonym wysokim płotem z szerokich desek, zbitych szczelnie jedna



obok drugiej. O przejściu przez płot nie było mowy – za wysoki! Ale wiem również, że deska z dużym sękiem jest ruchoma, można ją odsunąć i wyjść z podwórza. W tej chwili obudziłam się – w izbie nie ma już nikogo z ludzi, którzy tu byli. Nie ma również mojej Mamy. Ja siedzę skulona na podłodze. Pod piecem stoją dwie kobiety, nachylone do siebie, coś szepczą. Wiem, że mówią o mnie. Bardzo się boję. Zdaję sobie sprawę z tego, że mogę już z tej izby nie wyjść. Zrywam się, chcę uciec, ale nie pamiętam, gdzie są drzwi. Nagle przypomina mi się mój sen. Widzę go bardzo dokładnie. Szybko wybiegam z izby. Jestem w zupełnie ciemnej sieni, nie widzę żadnych drzwi. Ale wiem, pamiętam ze snu, że drzwi muszą być po prawej stronie. Szukam, są! Szukam zasuw, jest! Otwieram i znalazłam się w małym podwórzu, otoczonym płotem, zbitym z płaskich, szerokich desek. Podbiegam, zaczynam szukać deski z sękiem. Jest, duża, szeroka, w niej,

na wysokości mojej głowy, tkwił brązowy sęk. Odciągam deskę, jest ruchoma! Przełamę przez otwór i znalazłam się na okrągłym placyku. Cały zalany słońcem, po środku stała zielona ze złotymi kopolami, błyszczącymi w słońcu, cerkiew. Jednocześnie usłyszałam wołanie mnie przez moją Mamę. Pobieglam skąd dochodził głos i znalazłyśmy się. Jak się potem okazało, Mama wyszła raniutko z chaty, w której spałyśmy, żeby coś znaleźć do jedzenia, a potem nie mogła znaleźć domu, w którym nocowałyśmy. Mnie w tym czasie śnił się sen, który uratował mi życie. Mamie nikt nie mógł pomóc trafić do chaty, w której nocowałyśmy. One były właściwie wszystkie jednakowe. Ludzie byli jak oszalałe paniką stwory. Nikt nic nie pamiętał, nie wiedział. Wiadomo było, że już za chwilę „*tabor*” rusza w kierunku Kowla. Szczęśliwie ze znalezienia się chcieliśmy iść, ale Mamie buty tak zraniły nogi, że biedna nie mogła dać kroku. Usiadłyśmy więc w rowie patrzyłyśmy jak fury, jedna za drugą, jechały. Piszę na pewno przykrą prawdę, ale nikt z przejeżdżających nie zatrzymywał się na widok siedzących w rowie. Zajmowali się tylko sobą. A my siedziałyśmy w tym rowie. Dwie przerażone: Matka i dziecko. Ludzie przepływali na furach i, trzymając się swoich furmanek, szli. Wiedziałyśmy, że zostajemy na pewną śmierć. Ale co było robić? Ja płakałam, prosiłam żeby iść, ale Mama nie mogła, nie miała siły. Wtem podjechała furmanka, na której siedziała bratanica Mamy, mała, okutana w koce Wanda. Powoził jej Ojczym, p. Korbutawicz,

a obok szła Ciocia Wiera (tak bardzo przeze mnie kochana!). Była żona brata Mamy, Wujca Micia. Ciocia spojrzała na nas z wysokości pewnej sfery, bo szła, a my siedziałyśmy w rowie. I spytała tak jakoś po prostu: „*co Ty Janko zostajesz?*” Zostanie to była śmierć. Nie wiem, czy nie zdawała sobie sprawy z tego co się dzieje, czy ja nie rozumiem... Wiem, że Mama, po tym pytaniu podniosła się z dziwną energią, wzięła mnie za rękę i kulejąc powiedziała: „*choć!*”. No i poszłyśmy piechotą...

Po latach tak sobie myślałam często: czy ja lub moja Mama mogłybyśmy zostawić w takiej sytuacji dziecko, a nie wrzucić je na wóz. A do tej kobiety powiedzieć: no choć przytrzymaj się wozu i ruszamy. Może ja źle myślę, może to był szok? Na pewno tak, ale ani moja Matka, ani ja, tak byśmy nie postąpiły w podobnej sytuacji. Były to, pomijając wszystko, jednak bliskie krewne...

Ale Bóg pomógł i przetrwałyśmy dzięki życzliwym sercom dobrych ludzi.

***Aldona Perkowicz-Barbacka***



Ї нас на Волині - У нас на Волині

# WYJAZD EDUKACYJNY DO PORONINA MOJE LATO Z POLSKĄ (II TURNUS)

**Młodzież z Ukrainy z opiekunami****Fot. Marek Podbielski**

W dniach 5-14 lipca 2017 roku grupa dzieci i młodzieży z Ostroga na Wołyniu spędziła cudowne chwile u podnóża Polskich Tatr, w Poroninie koło Zakopanego. Był to wyjazd na zaproszenie Fundacji Wolność i Demokracja w ramach projektu „Biało-czerwone ABC. Dofinansowanie wydarzeń uzupełniających edukację polską i o Polsce na Ukrainie”. Projekt był współfinansowany w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2017 roku.

W wyjeździe edukacyjnym do Poronina, oprócz młodzieży Ostroga, wzięły udział dzieci z Kijowa, Żytomierza, Kropywnyckiego, Drohobycza i Sądowej Wiszni. Od początku był połączony z intensywną pra-

cą: dzieci pogłębiały znajomość języka, kultury, historii i geografii Polski oraz brały udział w zajęciach, warsztatach i wycieczkach krajoznawczych. Na zakończenie odbyły się prezentacje, w których każda grupa przedstawiła swoje miasto oraz wspólne śpiewanie piosenek, których się nauczyli. Czas spędzony w Polsce był owocny i wszyscy uczestnicy wrócili do domów ze wspaniałymi wspomnieniami.

Składamy serdeczne podziękowanie Fundacji Wolność i Demokracja za zorganizowanie wyjazdu edukacyjnego dla dzieci oraz zaproszenie.

**Włodzimierz Filarowski**

У нас на Во́лыни - У нас на Волині

## DOBRE JEŚĆ SŁUCHAĆ

W związku z jubileuszem 25-lecia kapłaństwa ks. Witolda Józefa Kowalowa przypomina mi się kilka obrazków.

Do Ostroga zajęliśmy przed pięciu laty podczas naszej pierwszej – nawiasem mówiąc również jubileuszowej o tej samej liczbie lat – wycieczki na Wołyń; do miejscowości, w której przed wojną mieszkała kilka lat moja babcia Maria i którą w latach siedemdziesiątych odwiedzili moi Rodzice. Kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, w którym ks. Witold Kowalów od 1992 jest proboszczem, jest piękny, neoklasycystyczny, z białymi kolumnami; stoi na wzniesieniu sąsiadującym z wzgórzem zamkowym i cerkwią Bohojawlenia, ze słowami „Sursum corda” nad wejściem. To wezwanie do nadziei i wiary później utrwaliło się w świadomości, bo często bywa przywoływane przez gospodarza tego świętego miejsca. Widok kościoła i najbliższej okolicy przywodzi na myśl strofy wierszy Łobodowskiego poświęconych Wołyniowi, te w których smukły łaciński klasycyzm miesza się z bujnym barokiem greckich cerkwi. We wnętrzu kościoła – zaskoczenie. Lewa ściana nawy przykryta pomalowanymi na biało deskami informowała, że trwa stan remontu, ale do takich widoków wołyńskich kościołów zdążyliśmy byli już przywyknąć podczas naszej podróży. Ten nawet się wyróżniał się podniesionym z ruin otoczeniem, z osiemnastowieczną odbudowaną dzwonnica i kaplicą bpa Franciszka Komornickiego oraz odnowionym wnętrzem. W wysokiej barokowej nastawie ołtarzowej, jakby klejnot – obraz Matki Bożej wzniesionej na chmurach i rozkładającej ramiona, z których spływa kaskadami niebieski płaszcz.



**Dziękczynna Msza św. w rodzinnej parafii** Fot. Zofia Parszczyńska

Natomiast w kaplicy Najświętszej Maryi Panny Różańcowej po prawej stronie zobaczyliśmy kaplicę grekokatolicką, z ołtarzem i ikonami przyozdobionymi „rusznikami” haftowanymi krzyżykami w barwne wzory. Już później dowiedziałam się, że w latach, gdy Ksiądz był klerikiem w Wyższym Seminarium Duchownym w Krakowie, chodził na świętą służbę do grekokatolickiej kaplicy św. Doroty przy kościele św. Katarzyny i prowadził tam swoich seminaryjnych kolegów. Teraz służy



kaplicą społeczności grekokatolików, którzy mają przewlekłe kłopoty z wybudowaniem cerkwi. Na tym pierwszym spotkaniu Ksiądz opowiadał o parafii, o wykładach w odnowionej Akademii Ostrogskiej i o wydawnictwie. Pokazywał wmurowane epitafium poświęcone ostatniemu burmistrzowi miasta, zamordowanego w Katyniu, Stanisławowi Żurakowskiemu, który w garniturze stojąc za biurkiem w swoim urzędzie przyjął przybyłych go aresztować enkawudzistów. Jego postać upamiętniona została jednym z kilku „*katyńskich dębów*” po prawej stronie świątyni. Odpowiadając na pytanie o sytuację na Ukrainie Ksiądz powiedział wówczas, w 2012 roku słowa, które – mając w pamięci triumf Pomarańczowej Rewolucji – nie tylko ja chyba przyjąłam ze zdziwieniem: „*Teraz jest dość spokojnie... oby nie było gorzej*”. Teraz, po paru latach mogę tylko zauważyć, że te słowa świadczyły o ostrożnej czujności i nasłuchiowaniu „znaków czasu”. Widzę w nich jakby preludium pogłębiającej się sytuacji osamotnienia w trwaniu na „*powierzonej placówce*” i w prowadzonym dziele. Kilka lat później wyraziłam podziw nad haftowanym motywem czarno – żółtych krzyżyków u rękawów i na dole alby, którą pani Stasia ze starannością niosła do prania. „*Tego wzoru właśnie najbardziej nie lubię*” – odpowiedziała.

Na stoliku przenośnej księgarenki pod chórem kupiłam wówczas 5 tomów książek poświęconych ks. Władysławowi Bukowińskiemu.

Chciałabym tu przywołać inny drobny obrazek z zeszłego roku. Przyjechaliśmy późnym wieczorem do Ostroga z Torunia, by po dwóch dniach udać się na betyfikację ks. Bukowińskiego do Karagandy w Kazachstanie. Wczesnie rano Ksiądz w szatach liturgicznych, w ornacie wyszedł, żeby odprawić Mszę św. Zobaczyłam Księdza szczęśliwego ze swojego ka-

pląństwa. Pod drzwiami kościoła czekała już mała gromadka mocno starszych pań. Dwie z nich, jak się potem okazało, mieszkają bardzo daleko: patrząc ze wzgórza zamkowego – aż pod lasem na horyzoncie. Jak te staruszki – codziennie – przychodzą zimą, idąc po zawianej śniegiem drodze, po której nie jeżdżą autobusy...? Na Mszy św. panie śpiewały wszystkie zwrotki pieśni, a chociaż patrzyły w modlitewniki, chyba znały je na pamięć. Jedna pani użyczyła mi swojej książeczki. Powiedziała, że mogę do niej spokojnie zerkać, bo po polsku nie umiała czytać.

Był szczególnie pietyzm i było głębsze skupienie w przeżywaniu tajemnic Mszy św., odcień pobożności jakoś dla mnie nowy, a może zapamiętany z dzieciństwa? Zerkając na rozpromienioną „*od wewnątrz*” sąsiadkę, chcąc jakoś rozpoznać ten jej stan ducha, przyrównałam ją w myślach do karmelitanki. Może też to tego dnia Ksiądz wykreślił jeden z podostrogskich chutorów ze stanu parafii – umarła w nim ostatnia parafianka.

Z Karagandy zdążyliśmy na wieczór. Jechaliśmy, lecieliśmy i znowu jechaliśmy od drugiej godziny w nocy poprzedniego dnia. Nie była to łatwa podróż nawet dla całkiem zdrowego człowieka. Ksiądz, chyba zdążywszy umyć tylko ręce i narzucić sutannę biegł odprawić Mszę św. Pod kościołem czekały już parafianki. „*Pani Leontyno, byłem w pani Dolince!*” – zawołał z radością, a owa staruszka bez słowa pocałowała Księdza w rękę. W tę podróż do grobu Błogosławionego Apostoła Wołynia i Kazachstanu zabrał Ksiądz „*w walizce*” intencje swoich parafian, często stojących już u progu wieczności. ...Ten obraz chciałabym uzupełnić o krzątanie owych pań parafianek w kuchni na plebanii. Troska o posiłki; ładnie pokrojone pomidory z pietruszką, pyszne kanapki z aromatycznie doprawioną masą z wątróbki. Ale przecież nie zawsze tak bywa.

Nie widziałam miłości tak pełnej pietyzmu wobec swojego proboszcza, jak na plebanii w Ostrogu.

Jeszcze ostatni obrazek. Wróciłam ze spaceru w górę ulicy Starościńskiej, Ksiądz spowiadał w kościele jakąś panią, bardzo długo. Wrócił rozpromieniony – do łaski tej spowiedzi przyczynił się ks. Bukowiński, powiedział. Była w nim radość ze spełnienia tej kapłańskiej pracy.

„Wołanie z Wołynia” chciałbym przyrównać do osoby. Jest taki piękny obrazek u Romana Brandstaettera: wyobrażenie jego pierwszego nauczyciela Pisma Świętego, jak tańczy w niebie u stóp Pańskich z Torą wysoko wzniesioną nad głową. Ten obraz umieściłam kiedyś w centrum naszego szkolnego przedstawienia „Życiorys własny Boga” na podstawie „*Kręgu biblijnego*” tegoż autora. Młody aktor tańczył bosy z dwumetrowymi drewnianymi żerdziami, na które przedtem nawinięto, podając się kantylacyjnemu rytmowi „*Hymnu do Biblii*”, wielką granatową płachtę. Rodały ubrane w kosztowne sukienki, drzewce przybrane koronami i dzwoneczkami Brandstaetter przyrównuje do szaty arcykapłańskiej, Słowo – staje się emanacją Bożej Mądrości. Rozważaniu biblijnego słowa poświęcił autor długie poematy, hymny i eseje.

Słowo drukowane, zwłaszcza w gazecie, ma inny wymiar, bo odpowiada na inne potrzeby. Czasem jednak odczuwa się, jakby traciło swój właściwy ciężar, może dlatego, że odrywa się często od osoby autora, a bywa, że od konkretnych rzeczy. A może po prostu potrzebuje przyrodzonego mu przeciętnego ciężaru świętości, choć ten ciężar, wiemy, jego twórca i budowniczy może dźwigać z wysiłkiem i dość niedołącznie? Za jego pomocą nadaje się sakralny wymiar światu... Jak powiedział o. Mieczysław Witalis: dniom, godzinom, przestrzeniom... Lubię poszukiwać w słowie jego osobowego wy-

miaru, które zetknęłoby realizm dotykanej przezeń rzeczy z jej sakralną głębią... To miłość do Stwórcy i do Jego Słowa prowadzi stopy tańczącego przed Panem nauczyciela – aktora. Trzeba jednak przy tym „*żyć*” – jak by może ujął tę postawę ks. prof. Konstanty Michalski, również w odniesieniu do budowanego słowa. Może to śmieszna rzecz, oczekiwać tego wymiaru od gazety? A jednak z radością odnajduje się ową świętość w wołyńskim dwumiesięczniku. Nawet czasem nie tyle w wyrażanych wprost treściach, choć wiele jest prezentowanych listów pasterskich i innych dokumentów Kościoła hierarchicznego. Niedawno wyczytałam w książce pod red. Wojciecha Polaka „*Czas próby. Kościół katolicki w okresie PRL*” poruszające zdanie z listu kard. Stefana Wyszyńskiego skierowanego do Jerzego Turowicza, redaktora „Tygodnika Powszechnego”, obrazujące spór między Prymasem a linią redakcji: „*Walczę z Tobą o prymat nauczania hierarchicznego w Polsce*”. Dzięki „Wołaniu” czytelnik zaznajamia się z najważniejszymi dokumentami Kościoła na Ukrainie, wyrażającymi stanowisko hierarchii w tak trudnym czasie. Także z historią Kościoła diecezji łuckiej. Jaka to nieprzebrana i bogata historia, skoro od 25 lat poznajemy te dzieje i stale odkrywamy nowe rzeczy! Ile w tej historii świadectw heroizmu pasterzy, świętości wiernego, a pokrzywdzonego ludu... Ile piękna!

Dobrze jest słuchać w tej wielogłosowej i czasem wielonarodowej opowieści o dziejach i życiu dzisiejszym diecezji łuckiej, różnych głosów – od dostojników Kościoła, twórców kultury po najskromniejsze osoby, których słowa rejestruje niestrudzony ksiądz Redaktor. Autorami są często ci spoza kręgu „*piszących*”, jakby zapomniani przez „*wielką historię*”. To zwykli Wołyńianie, dawni i dzisiejsi, ci, którzy „*pamiętają*” i czasem „*cierpią prze-*



Przy ołtarzu w kościele farnym w Ostrogu

Fot. Irena Dejneka

śladowanie dla sprawiedliwości”, a nigdy jej przecież nie dostąpią. „Wołanie” tworzy dającą do myślenia „pozycję takich głosów – wysokich, religijnych, literackich i kulturowych tematów – pomieszanych z maluczkimi. Ocalanie więc pamięci, ocalanie śladu, ale i nobilitacja, przywracanie dzisiejszemu człowiekowi godności, podnoszenie go wzwyż, do Boga. Ile w takim podejściu, w pochyleniu się nad swoją wielonarodową ojczyzną, mądrej pokory, ile świętego trudu – o tym wie tylko Pan Bóg. Ile redaktorskiej pokory. Może wie o niej jeszcze tylko pani Ludmiła Poliszczuk, nieustrudzenie, od samego początku pomagająca Księdzu we wszystkich pracach, w najskromniejszych warunkach, z równie wielkim samozaparciem. Myślę, że niejednen redaktor i niejednen korektor w Polsce złapałby się za głowę, jak można w takich warunkach tworzyć gazetę, wydawnictwo, które od 1997 roku wypuściło już 118 ty-

tułów książkowych! A przecież ks. Redaktor jest proboszczem w Ostrogu, w Kuniowie, a kiedyś jeszcze w dwóch innych parafiach – w Zdołbunowie i Klewaniu, i nie są to jedyne jego prace...

Zuzanna Ginczanka, poetka z Równego, której ostatnio w związku ze stuletnią rocznicą urodzin poświęcono na łamach pisma sporo miejsca, opisująca swoje duchowe doświadczenie, użyła takiej metafory: „wiersze znaczą mój ślad”. A inna poetka, z czasów już powojennych, Anna Kamińska mówi: „jesteśmy dla siebie nawzajem świadkami”. I śladem, i jakże ważnym świadectwem dla dzisiejszych twórców kultury jest „Wołanie z Wołynia” i praca księdza Redaktora i Wydawcy.

Z okazji tego Jubileuszu – Szczęść Boże!

*Maria Kalas*

Pamięć - Пам'ять

## OCALENI OD ZAPOMNIENIA: KSIĄDZ BOLESŁAW KRANZ

W poprzednich numerach „Monitora Wołyńskiego” opowiadaliśmy Czytelnikom o losach Polaków i Ukraińców, którzy doznali represji ze strony pierwszych Sowietów. Ks. Bolesław Kranz, któremu poświęcamy ten szkic, razem ze swoimi parafianami przetrwał okupację niemiecką i trafił do niewoli sowieckiej już po zakończeniu II wojny światowej.

Bolesław Kranz urodził się w 1910 r. we wsi Krasne (w okresie międzywojennym było to województwo krakowskie, obecnie – podkarpackie) w rodzinie pracownika poczty Jana Kranza. W 1928 r. Bolesław ukończył gimnazjum w Krakowie. Właśnie wtedy ucząc się filozofii scholastycznej postanowił poświęcić swoje życie służbie Bogu. Już w 1927 r., w wieku siedemnastu lat, złożył prośbę o przyjęcie go do klasztoru kapucynów i w tymże roku złożył śluby zakonne przybrawszy nowe imię – Remigiusz. W 1929 r. młody kapucyn dostał się na Wydział Teologiczny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po studiach był proboszczem w Rozwadowie, Drohobyczu i we Lwowie. W 1939 r. został przeniesiony do Ostroga, najpierw do klasztoru, a później na stanowisko proboszcza w lokalnym kościele. W tym czasie kościół w Ostrogu podlegał diecezji łuckiej, na czele której stał biskup Adolf Szelązek.

W czasie okupacji niemieckiej w latach 1941-1944 ks. Bolesław Kranz przebywał w Ostrogu, razem ze swoimi parafianami.

Należy tu powiedzieć, że matkę Bolesława, Anielę i jego siostrę Zofię rozstrzelali naziści, młodsza siostra Helena trafiła do obozu koncentracyjnego, natomiast brat

Stanisław zginął na froncie w czasie kampanii wrześniowej.

W sierpniu 1944 r. Bolesław Kranz próbował spotkać się ze swoją rodziną, jednak w tym czasie Krasne pozostawało pod niemiecką okupacją. Udało mu się dostać tylko do Lublina, gdzie spotkał się z ks. Andrzejem Witosem, kierownikiem resortu rolnictwa i reform rolnych Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Poznali się jeszcze w 1937 r., kiedy Andrzej Witos był wójtem, a Kranz – księdzem w województwie lwowskim. Właśnie Witos pomógł ks. Kranzowi zdobyć bilet na samolot pasażerski do Lwowa, aby ten stamtąd mógł wrócić do Ostroga.

Ks. Bolesław Kranz cieszył się wielkim autorytetem wśród ludności polskiej Ostroga, zarówno w czasie okupacji niemieckiej, jak też po nadejściu władz sowieckich. Opiekował się dziećmi uczęszczającymi do polskiej szkoły nr 2, stale kontrolował proces oświatowy i dbał o to, by uczniowie w każdą niedzielę odwiedzali kościół i byli wychowywani na prawdziwych katolików i patriotów swego państwa. 11 listopada 1944 r. ks. Bolesław Kranz dał uczniom transparent z napisem «*Niech żyje wolna Polska!*», polskie godło i flagę, żeby ozdobili swoją szkołę w Dniu Niepodległości Polski. 8 grudnia tegoż roku w kościele została poświęcona flaga polska i wręczona uczniom szkoły, a 24 grudnia dzięki zebranym przez księdza pieniądzom – w sumie 800 rubli – zorganizowano opłatek dla szóstoklasistów. Według Eweliny Bojanowicz, zastępcy dyrektora polskiej szkoły, ks. Kranz zakazał uczniom obchodzenia

imprezy noworocznej w dniu 31 grudnia 1944 r. Proboszcz we wskazówkach udzielanych polskiej młodzieży odważnie głosił, że Polska się odradza i nie należy uczęszczać na komsomolskie zebrania, a lepiej założyć swoją organizację.

13 stycznia 1945 r. ksiądz został osadzony w sowieckim więzieniu. Z opisu majątku ułożonego w czasie aresztu możemy wywnioskować, że kapłan prowadził ascetyczny tryb życia. Z mebli miał łóżko, kanapę, stół, trzy krzesła i zegar. Nie posiadał też wielu ubrań. W opisie znalazło się m.in. tylko jedno palto jesienne.

Nie zabrakło więc podstaw, aby go aresztować, a najważniejszym zarzutem było prowadzenie agitacji antysowieckiej. Ks. Bolesław Kranz był przeciwnikiem Układu pomiędzy PKWN a Rządem USRR, który dotyczył ewakuacji obywateli polskich z terytorium USRR i ludności ukraińskiej z terytorium Polski zawartego w Lublinie 9 września 1944 r. Dokument określał też okres deportacji ludności: od 15 października 1944 do 1 lutego 1945 r. Jednak Ukraińcy nie chcieli przeprowadzić się do «sowieckiego raj», a Polacy nie chcieli pozostawiać terenów Ukrainy żywiąc nadzieję, że Polska odzyska ziemie okupowane przez władze sowieckie we wrześniu 1939 r.

Większość Polaków Ostroga z radością odebrała wiadomość o podpisaniu Układu pomiędzy PKWN a Rządem USRR. Z tego powodu funkcjonariusze partyjni zorganizowali ogólnomiejski wiec, na którym zwolennicy idei komunistycznych publicznie piętnowali zachowanie ks. Kranza, zarzucając mu ingerowanie w proces wychowawczy i agitację przeciw deportacji lokalnych Polaków do Polski. Co dziwniejsze, razem z innymi, parafianie kościoła oklaskiwali występującego, który otwarcie oskarżał «służącego kultu religijnego». Ten fakt oburzył ks. Kranza, ponieważ wielu parafian zwracało się do niego po radę co

do tego, jak mają uczynić z wyjazdem. Ze względu na to, że większość Polaków żyła biednie i często brakowało nawet ubrań zimowych dla wszystkich członków rodziny, proboszcz polecał im poczekać do wiosny. Tym bardziej, że w Układzie było zapisane, że «ewakuacja jest dobrowolna».

Ponieważ, zgodnie z Układem, termin deportacji upływał 1 lutego 1945 r., ks. Kranz inicjował zebranie podpisów o zmianę tej daty na 1 kwietnia 1945 r. Te inicjatywy proboszcza władze NKWD potraktowały jako wykroczenie poza zakres obowiązków służbowych i ingerencję w politykę państwową.

27 stycznia 1945 r. Bolesława Kranza oskarżono według p. «a» art. 54-1 i cz. II 54-10. Zarzucono mu m.in. pomoc Niemcom w ustanawianiu reżimu okupacyjnego. To oskarżenie było oparte o zdobyte w czasie dochodzenia informacje o tym, że ojciec Bolesława Kranza z pochodzenia był Niemcem. Ale więzień kategorycznie temu zaprzeczał. Obwiniono go o to, że w styczniu 1944 r. zorganizował samoobronę, która miała bronić lokalnych Polaków przed ukraińskimi nacjonalistami. Do samoobrony zapisali się mieszkańcy Ostroga jak Jan Zawiasa, Korycki, Świecicki (imiona są nieznanne), Stanisław Kubicki, Jan Zamirski, Grzegorz Lasocki i in. W lutym-marcu 1944 r. te wszystkie osoby zostały zmobilizowane do Armii Czerwonej przez Ostrogski Rejonowy Komitet Wojskowy. Według informacji uzyskanej od śledczego, właśnie Niemcy przekazali broń uczestnikom samoobrony. Ksiądz sprostował jednak to przypuszczenie. Rzeczywiście, lokalni Polacy byli uzbrojeni w 18 karabinów, które wymienili u Niemców i Węgrów na żywność. Samoobrona trwała ok. 10 dni, po czym broń została oddana w ręce dowództwa Armii Czerwonej, której jednostki wkroczyły do Ostroga.

Po przeprowadzeniu śledztwa księdza oskarżono według cz. II art. 54-10

KK USRR o to, że on «*od pierwszych dni uwolnienia Ostroga od nazistów, jako osoba wrogo nastawiona do władz sowieckich, prowadził agitację antysowiecką, ignorował rozkazy dowództwa Armii Czerwonej, apelował do ludności, aby nie szła na kopanie rowów. Systematycznie prowadził wrogie kampanie mające na celu zerwanie Układu Lubelskiego... Wtrącał się w sprawy sowieckiej szkoły, wychowywał młodzież szkolną w duchu antysowieckim...*».

29 czerwca 1945 r. odbyło się posiedzenie trybunału wojskowego Wojsk NKWD Obwodu Rówieńskiego pod przewodnictwem majora Gnidenki. Według wydanego przez niego wyroku, Bolesław Remigiusz Kranz został skazany na dziesięć lat pozbawienia wolności w obozie pracy z konfiskacją mienia i pięć lat ograniczenia praw obywatelskich.

Według postanowienia Prokuratury Obwodu Rówieńskiego z dnia 9 lutego 1993 r. wobec Bolesława Kranza zastosowano art. I Ustawy USRR «*O rehabilitacji ofiar represji politycznych na Ukrainie*» z dnia 17 kwietnia 1991 r. Jego dalszy los jest nam nieznan.

Aresztowanie proboszcza kościoła ostrogińskiego ks. Bolesława Remigiusza Kranza miało na celu zastraszanie lokalnych Polaków, którym dano do zrozumienia, że ich miejsce jest za Bugiem. Ponadto, władze lokalne wyzbyły się potężnego konkurenta, który miał niewątpliwą wpływ na polską ludność miasta gromadząc ją wokół wartości religijnych i narodowych. Aresztowanie duszpasterza stało się początkiem upadku świątyni rzymskokatolickiej w Ostrogu. W tymże 1945 r. kościół przestał funkcjonować jako świątynia – urządzono w nim skład ziarna. Wtedy też parafianie stracili jedną z największych relikwii kościoła – marmurową rzeźbę autorstwa Tomasza Oskara Sosnowskiego «*Chrystus w grobie*», która została przekazana przez władze sowieckie do Muzeum

Ostrogskiego.

**Tetiana Samsoniuk**

P.S.: Tetiana Samsoniuk jest głównym specjalistą Działu Udostępniania Informacji z Dokumentów Państwowego Archiwum Obwodu Rówieńskiego. Materiały rubryki «*Ocaleni od zapomnienia*» zostały opracowane według akt radzieckich organów ścigania, przechowywanych w Państwowym Archiwum Obwodu Rówieńskiego, w zbiorach Zarządu KGB Ukrainieńskiej SRR w Obwodzie Rówieńskim (1919-1957) oraz w Archiwum Zarządu Służby Bezpieczeństwa Ukrainy. Będziemy wdzięczni, jeżeli odezwą się Czytelnicy, krewni lub bliscy bohaterów naszej rubryki, którzy posiadają o nich dodatkowe informacje.

Tetjana Samsoniuk, „*Ocaleni od zapomnienia: ksiądz Bolesław Kranz*”, „*Monitor Wołyński*” nr 16 (192) z 31 sierpnia 2017 r., s. 6-7. //

<http://monitor-press.com/pl/2-pol/wiadomo-ci/5844-1927.html>

Od redakcji „WzW”:

Dokonując przedruku zachowaliśmy pisownię nazwiska „Kranz” używaną przez p. Tetianę Samsoniuk, niezgodną z dotychczas przyjętą. Sam o. Remigiusz po powrocie z Kołomyj w 1948 r. do śmierci w 1977 r. używał pisowni „Kranc”.



Pamięć - Пам'ять

## JESZCZE O OJCU REMIGIUSZU KRANCU OFMCap.

Wypada podziękować za artykuł p. Tejtjany Samsoniuk pt. „*Ocaleni od zapomnienia: ksiądz Bolesław Kranz*” – „*Monitor Wołyński*” nr 16 (192) z 31 sierpnia 2017 r., s. 6-7 – który przypomniał postać heroicznego kapłana. Artykuł zawiera jednak kilka nieścisłości, na które trzeba zwrócić uwagę.

O. Remigiusz to imię zakonne; Bolesław to imię ze chrztu świętego. Ojciec Kranz był zakonikiem klasztoru OO. Kapucynów w Ostrogu, z którego zostali oni wyrzuceni przez Sowieców już w grudniu 1939 roku. Ojciec Remigiusz był zakonikiem, dlatego w języku polskim raczej używamy formy „ojciec”, a nie „ksiądz”. Ojciec Remigiusz Kranz nie był proboszczem parafii Ostrogskiej, tylko jej administratorem, pomagając obłożnie choremu proboszczowi parafii ks. Piotrowi Milanowskiemu. Razem mieszkali w dawnym Domu Katolickim należącym do Ostrogskiego oddziału Akcji Katolickiej (obecna drukarnia), gdyż z plebanii ks. wyrzucono już w 1939 roku, zamieniając ją na szpital, a w czerwcu 1941 roku została zniszczona w czasie sowieckiego bombardowania miasta na początku wojny niemiecko-sowieckiej.

Nb. ks. P. Milanowski wyjechał z Ostroga w 1946 roku razem z OO. Kapucynami i zmarł 17 lutego 1950 r. w Krakowie w Zakładzie Helclów i nie posiada nawet własnego grobu. Został pochowany w mogile oo. Kapucynów na Cmentarzu Rakowickim.

Po II wojnie światowej i po zwolnieniu z łagru na Kołymie, o. Remigiusz Kranz

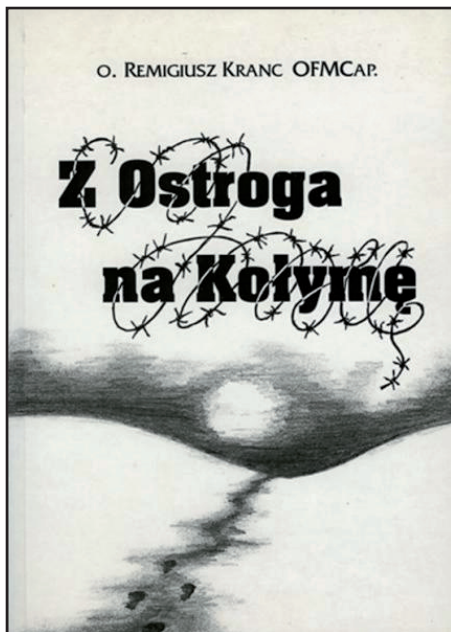


O. Remigiusz Kranz OFMCap.

Fot. Parafia Tenczyn

używał wyłącznie polskiej formy swego nazwiska „Kranz”, a nie „Kranz”.

Kościół farny w Ostrogu został zamknięty w 1946 roku (a nie w 1945) i znów otwarty wiernym w 1948 roku. W latach 1948-1958 posługę w nim pełnił dojeżdżający z Równego inny kapucyn, Sługa Boży o. Serafin Kaszuba. Kościół farny w Ostrogu kolejny raz został zamknięty w 1960 roku i był nieczynny do 1989 roku. Wtedy parafianie stracili nie tylko świątynię, ale również jej dawne wyposażenie – do muzeum m.in. została wówczas zabrana i jest tam do dziś więziona rzeźba autorstwa Tomasza Oskara Sosnowskiego „*Madonna z Dzieciątkiem*”, którą w 1897 r. do naszego

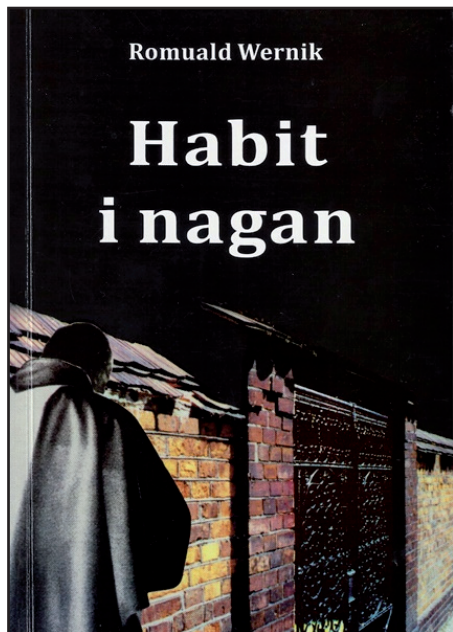


kościół ofiarowała Bronisława Czosnowska z d. Falkowska.

Wiele imion i nazwisk polskiej samoobrony w Ostrogu, której przewodniczył o. Remigiusz Kranc, zawierają jego wspomnienia „*W drodze z Ostroga na Kołymę*”, które wydała drukiem nasza parafia razem z Ojcami Kapucynami w Krakowie w 1998 roku (Biblioteka „*Wołania z Wołynia*” t. 4). Na temat o. Remigiusza Kranca została napisana na Papieskiej Akademii Teologicznej praca magisterska, której autorką jest Sabina Świelikowska. Chcemy tę pracę wydać drukiem. Może znajdzie się sponsor, który pokryłby koszty druku i papieru?!

Postać o. Remigiusza Bolesława Kranca ukazują także niewydane dotąd wspomnienia Rajmunda Dźygadły oraz wydana dwukrotnie powieść Romualda Wernika pt. „*Habit i nagan*”.

Mimo wskazanych powyżej nieścisłości ten i inne artykuły p. Tetiany Sams-



niuk zasługują na uznanie. Autorce należy się wielkie podziękowanie za podejmowanie trudnych tematów i przypominanie ofiar sowieckiego totalitaryzmu okresu II wojny światowej.

ks. Vitold-Yosif Kovaliv  
(dawniej ks. Witold Józef Kowalów)





**Написали до нас** - Написали до нас

**SPROSTOWANIE DO  
„PRZYCZYNKU DO ŻYCIORYSU  
KS. ZYGMUNTA CHMIELNICKIEGO”  
AUTORSTWA  
KS. BRONISŁAWA KANTA SDB**

W „Wołaniu z Wołynia” (R. 23: 2017, nr 3, maj-czerwiec, s. 40-43) został opublikowany „Przyczynek do życiorysu ks. Zygmunta Chmielnickiego”, którego autorem jest nieżyjący już salezjanin, ks. Bronisław Kant. Opublikowany tekst to rozważania – osnute na kanwie wspomnień z Łucka z lat 1940-1944 – poświęcone słabo jeszcze znanym kartom z życia ks. Zygmunta Chmielnickiego, kapłana diecezji łuckiej. Autor odniósł się w nim do ustaleń niektórych badaczy (P. Weiser, M. Dębowska).

Należy wyjaśnić, że poniższy tekst nie jest pomyślany jako polemika z nieżyjącym już przecież Autorem. Ma to być raczej zwrócenie uwagi na prawdę historyczną oraz sprostowanie kilku twierdzeń ks. Kanta, gdyż, niestety, czasami pamięć ludzka jest zawodna, a Czytelnik zastrzega na to, by otrzymać rzetelne informacje.

Autor „Przyczynku” jako pięcioletnie dziecko zamieszkał w Łucku w 1935 roku i pozostał tam do 1944 roku. Ponieważ wychowywał się w bliskości katedry, znał duchownych związanych z tą świątynią i parafią katedralną. Jego wspomnienia mogłyby być więc cennym wkładem w poznanie niektórych wydarzeń z życia tego środowiska w okresie wojny, gdyż



**Ks. Zygmunt Chmielnicki**

*Fot. Archiwum*

jak sam Autor zaznaczył, „w latach 1940 do 1944 miałem 10-14 lat. To jest wiek, w którym najbardziej się wszystko w głowie

rejestruje”. Niestety, niektóre wydarzenia z tego okresu, zapamiętane przez ks. Bronisława Kanta, a łączące się z ks. Zygmuntem Chmielnickim, miały nieco inny przebieg lub rozegrały się w innym czasie.

Większość tekstu „Przyczynku” jest poświęcona kwestii pobytu ks. Zygmunta Chmielnickiego w łagrze na Wyspach Sołowieckich. Niniejsze wyjaśnienia dotyczyć więc będą głównie tego wątku.

Ksiądz Kant zgodził się z P. Weissem, autorem biografii ks. Chmielnickiego [1], pisząc iż wspomniany duchowny nie mógł być więziony na Sołówkach przed 1928 rokiem, ponieważ gdyby wtedy był na Sołówkach, nie miałby prawa wyjść stamtąd żywym. A jednak wyszedł! W łagrze na Wyspach Sołowieckich ks. Chmielnicki przebywał od sierpnia do grudnia 1926 roku. Sam napisał o tym we wspomnieniach: „*Teraz mamy święta 1926 roku w więzieniu butyrskim w Moskwie. To już była wigilia «burżujska». Nastrój lepszy, bo choć tak samo w więzieniu, ale właśnie niedawno wróciło się z obozu sołowieckiego, więc po nim więzienie wydaje się drobnostką?*” [2]. A w artykule zamieszczonym w „Życiu Katolickim” (nr 11 z 1930 roku, s. 1) nawiązał do przeżyć z łagru sołowieckiego: „*Na pryczach więziennych, w przeznaczonych dla duchowieństwa «6-jej rocie» sołowieckiej, przy tacze wspólnej, przy obrabianiu tego samego «balanu» następuje, jak tam żartem mówią, niby «zjednoczenie Kościołów» – a przynajmniej wytwarza się atmosfera temu zjednoczeniu sprzyjająca. Ci, co tam cierpią, już zazwyczaj nie są wrogo dla Kościoła usposobieni?*”.

Odpowiadając na twierdzenie M. Dębowskiej, iż ks. Chmielnicki w czasie pierwszej okupacji sowieckiej (1939-1941) nie angażował się w żadną działalność podziemną i uniknął aresztowania, ks. Kant zaoponował: „*Ks. Chmielnicki*

*był pierwszym, którego dosięgły sowieckie represje. Dla bolszewików był wrogiem numer jeden. [...] Został w pierwszej kolejności aresztowany. Że nie ma o tym wzmianki? To był wtedy chleb powszedni. Nie miał kto «wzmiankować» i nie wolno było, bo to, kto został aresztowany, albo kto został wywieziony, należało do najściślejszej tajemnicy państwowej. A już dokąd kto został wywieziony, dowiadywano się po długich miesiącach lub nawet po latach?*”. Gdyby – jak twierdzi Autor Przyczynku – ks. Chmielnicki został wówczas aresztowany, to przecież biskup łucki Adolf Piotr Szelażek i jego najbliżsi współpracownicy wiedzieliby od razu o tym fakcie, a już na pewno gdzie był więziony dowiedzieliby się od niego samego, gdyż w czerwcu 1941 roku ks. Chmielnicki wrócił do Łucka ze Lwowa. W spisie księży łuckich, represjonowanych przez władze sowieckie w latach 1939-1941, sporządzonym 10 grudnia 1941 roku przez ks. Jana Szycha, kanclerza Kurii Diecezjalnej w Łucku, nie widnieje nazwisko ks. Chmielnickiego [3].

Ksiądz Knap napisał dalej, że po aresztowaniu przez Sowietów ksiądz Chmielnicki został wywieziony na Wyspy Sołowieckie. Należy tutaj wyjaśnić, iż nie było to możliwe, gdyż w 1937 roku w miejsce łagru sołowieckiego utworzono więzienie specjalnego przeznaczenia, a to w 1939 roku także zlikwidowano i na wyspach utworzono bazę szkoleniową marynarki wojennej [4].

Bardzo intrygujące może się wydać wyjaśnienie Autora Przyczynku w kwestii pobytu ks. Chmielnickiego w klinice chirurgicznej we Lwowie: „*Tam [na Wyspach Sołowieckich – M.D.] zachorował na nerki. Prawdopodobnie szybko pożegnałby się z tym światem, ale lekarz obozowy odkrył, że był to niezwykle rodzaj jego choroby. Był to szczegól-*

ny wypadek, który się zdarza raz na tysiące chorych. Według niego należało go dokładnie zbadać przez fachowców, a najlepszym specjalistą w tej dziedzinie był profesor we Lwowie. Tenże lekarz obozowy wystarał się u władz NKWD, że w styczniu 1941 roku ks. Chmielnicki został przetransportowany do Lwowa pod opiekę słynnego chirurga. Oprócz lekarza, cały czas «opiekę» nad nim sprawowało NKWD, aby, gdy tylko zostanie wyleczony, natychmiast dostarczyć go powtórnie na Sołówki. Nic więc dziwnego, że w szpitalu spisał testament, gdyż zdawał sobie jasno sprawę ze swojej sytuacji i nieuniknione go powrotu do krainy wiecznych śniegów. Traf chciał inaczej, bo oto w czerwcu tegoż roku wybuchła wojna między Sowietami a Niemcami. Sowietci ze Lwowa uciekli zostawiając skazańca w szpitalu». Podsumowując ten wywód należy stwierdzić, że to tylko licentia poetica Autora i przypomnieć choćby tylko to, iż ks. Chmielnicki w czasie pierwszej okupacji sowieckiej na Sołówkach nie mógł być więziony.

Odnieść się należy również do wyjaśnień ks. Kanta w kwestii tego, czym niby „zasłużył” sobie ks. Chmielnicki na aresztowanie przez sowieckie władze bezpieczeństwa. Według Autora „Przyczynku” ks. Chmielnicki miał jakoby założyć w Łucku Instytut Wyższej Kultury Religijnej! [5]. Tymczasem dekret erekcyjny Instytutu Wyższej Kultury Religijnej przy Diecezjalnym Instytucie Akcji Katolickiej w Łucku wydał 20 stycznia 1938 roku ordynariusz łucki bp Adolf Piotr Szelażek [6], bo to należało do jego kompetencji. W programie wykładów w czasie pierwszego roku 1938/1939 nawet nie uwzględniono ks. Chmielnickiego jako wykładowcy [7].

Nie jest prawdą również to – co twierdził ks. Kant – że Niemcy aresztowali także ówczesnego (1939-1945) probosz-

cza parafii katedralnej w Łucku ks. Władysława Bukowińskiego. Ten duchowny został aresztowany drugi raz „dopiero” przez NKGB, razem z bpem Szelażkiem, w styczniu 1945 roku.

**Maria Dębowska**

Przypisy:

[1] P. Weiser, „Ksiądz Zygmunt Chmielnicki 1891-1944”, Lublin 2001, s. 22-23.

[2] Z. Chmielnicki, „Kartki wspomnień”, oprac. M. Dębowska, Biały Dunajec – Ostróg 2010, s. 74.

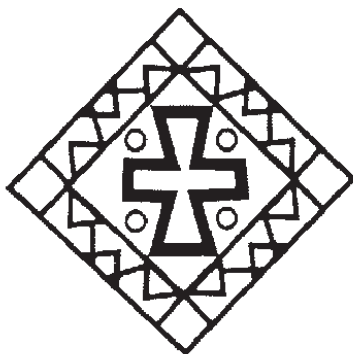
[3] Spis został opublikowany w: M. Dębowska, L. Popek, „Duchowieństwo diecezji łuckiej. Ofiary wojny i represji okupantów 1939-1945”, Lublin 2010, s. 191-193.

[4] <http://gulag.info.pl/historia-solowki>.

[5] „Kształcił inteligencję katolicką w założonym przez siebie Instytucie WWiKR” [sic].

[6] „Miesięcznik Diecezjalny Łucki”, 13 (1938) nr 1-2, s. 14-17.

[7] Tamże, s. 17-18.



**Rapisali do nas** - Написали до нас**PROKOP**

Mój Dziadzio Franciszek Czyżewski, inwalida z I wojny światowej, miał do polowy uda amputowaną nogę. 12 hektarowe gospodarstwo, kilkumorgowy sad (1 morga = 0,56 ha), wiatrak, olejarnia, stado owiec, wymagały rąk do pracy. Gospodarz ze względu na swoje kalectwo mógł jedynie doglądać gospodarki i wykonywać prace według swoich możliwości. Gospodarzył wujek Jan, należący do wojskowej organizacji „*strzelec*”, a wujek Stefan podhajecki leśniczy, po pracy też zakasywał rękawy do gospodarskich zajęć. Bardzo pomocnymi okazali się dwaj ukraińscy sąsiedzi, Prokop i Bazyli. Ich gospodarstwa przylegały z obu stron do naszego dużego sadu. Byli to bardzo dobrzy i życzliwi ludzie. Szczególnie Prokop był bardzo religijnym prawosławnym. W jego domu wielką ciężą otaczano ikony, obrazy przedstawiające świętych namalowanych na deskach. Uczestniczył też z całą rodziną w każdym cerkiewnym nabożeństwie.

We wrześniu 1939 r. jego podejście do religii i sąsiadów zmieniło się diametralnie. Po wkroczeniu Sowietów na Wołyń, z domu Prokopa zniknęły wszystkie ikony, a jego, poprzednie, tak przyjazne odnośnienie się do swojego najbliższego sąsiada, Polaka, zmieniło się nie do poznania. Nie pomagał już memu Dziadziowi w pracach gospodarskich, a na grzeczne powitanie reagował bardzo nerwowo plując w kierunku pozdrawiającego i złorzecząc Lachowi. Dziadzio nie potrafił tego zrozumieć, do czasu aż wszystko się wyjaśniło. Mój tata, granatowy policjant, w tym czasie przebywał na Polesiu. Sowietci szalęli. Złapanych polskich żołnierzy i policjantów aresztowali i deportowali w nie-

znane. Nikt nie mógł przewidzieć, jaki los jest im przeznaczony. Aresztowanych umieszczano w trzech obozach Ostaszkowo, Starobielsku, Kozielsku skąd wiosną 1940 r. zostali przewiezieni do Katynia. Tutaj w katyńskim lesie dokonano strasznej zbrodni. Wszystkich uśmiercano strzałem w tył głowy i zagrzebano w olbrzymich dołach. Niektórych pogrzebano żywcem. Ulicestwiono w ten sposób tysiące wartościowych obywateli II Rzeczypospolitej, mieszkańców Kresów Wschodnich.

Mój Tata uniknął Katynia dzięki pomocy ukraińskich chłopów – Poleszuków. Ten stróż prawa był dobrym, szlachetnym człowiekiem i służył uczciwie człowiekowi. Ci prości, skromni ludzie potrafili to docenić. Ukryli policjanta w oczerecie, jednej z wyspek wśród rozlewisk wodnych. Uratowany przebywał wśród szuwarów, trzcin tataraku zaopatrywany nocą przez swoich wybawców w pożywienie, które dowożono mu łódką. Prawie miesiąc, do połowy października, przebywał Tata na wyspie, ale gdy rozpoczął panowanie straszny ziąb, podziękowawszy i pożegnawszy serdecznie swoich wybawców przenieśli się z Polesia na Wołyń do miejscowości Podhaje, gdzie mieszkali moi Dziadkowie, Paulina i Franciszek Czyżewscy i ja z Mamą. Tata nadal ukrywał się przed Sowietami w różnych miejscach. W lesie, w gajówce Piotrowskich, (nasza rodzina) w zabudowaniach: stodole, na wyżkach (pomieszczenie do składania siana, nad kurnikiem), a nawet w domu, gdy było bardzo zimno. Dziadzio w swoich wołyńskich opowieściach wspominał o niespotykanych, w poprzednich latach, silnych przymrozkach, które w październiku 1939 r.

pozycylny straty w sadach. Dziadzio wspominał też, że nie mógł się pogodzić z wrogiem wobec niego zachowaniem Prokopa. Mieliliśmy dużego psa owczarka, który bardzo dobrze pilnował pasących się pod lasem owiec, a nocą obejścia. W dzień, przy gospodarzach, był dla wszystkich bardzo przyjazny, natomiast nocą nie było dla niego „znajomych”, z jednym wyjątkiem. Dotyczyło to Prokopa. Ten sąsiad mógł wchodzić na podwórze nocą. Pies nie tylko na niego nie szczekał, ale łasił się i lizał mu ręce. Dziadzio był przekonany, że pies wyczuwa dobrego człowieka, ale nagle odmiana, wrogi zachowanie ukraińskiego sąsiada, stanowiło dla polskiego gospodarza szaradę nie do rozszyfrowania. Pewnego dnia panujący na dworze ział zmusił mego Tatę do nocowania w domu. Skoro świt, na Wołyniu mówiono „do dnia”, mój Tata wychodząc z domu spotkał się na progu z Prokopem, który nie pozwolił mu wyjść na podwórze. Obaj weszli do kuchni. Rodzina była przerażona. Gość wyjął z zanadrza, złożoną kartkę i podał delikwentowi ze słowami: „*Czytaj!*”. Tata po rozwinięciu kartki i zapoznaniu się z jej treścią usiadł z wrażenia na krześle. Podał kartkę Mamie, ale jej też słowa uwięzły w gardle. Mieszkała też z nami ciocia Fela pomagająca Babci w gospodarstwie. Ta bez zająknięcia odczytała jej treść, która brzmiała: „*Zaufajcie Prokopowi. To bardzo porządny człowiek. Ukrywa mnie i Leona. Zaufajcie mu, a kartkę spalcie*”. Słuchający odczuli wielką ulgę. Po wkroczeniu sowietów moja rodzina nie wiedziała co się dzieje z wujkiem Stefanem, leśniczym. Byli pewni, że został przez sowietów aresztowany. Po ostatnich słowach, odczytanych przez Felę, odezwał się Prokop: Panie Czyżewski, bardzo pana przepraszam, za moje zachowanie, ale nie mogę teraz postępować inaczej. Ukrywam w mojej stodole pana syna i Leona Piotrowskiego (obaj pełni

funkcję leśniczych). Gdybym im nie udzielił schronienia byłoby już w rękach sowietów. Muszę przed sowietami udawać, że jestem wrogiem Polaków, stąd takie moje zachowanie. Urządziłem w moim domu jakby sztab NKWD. Nie żałuję im jadła ani horilki (wódki), a wiadomo ona rozwiązuje języki. W tej torbie jest wódka, a pani Paulina niech przygotowuje poczęstunek, bo dziś rano przyjdę tu z NKWudzistami, bo ktoś doniósł, że widzieli Antoniego. Dlatego też nie pozwoliłem zięciowi wyjść za próg domu, bo już całe obejście i drogi do lasu są obstawione przez sowietów. O czymś na boku poszeptał z Babcią, Mamą, Felą i jeszcze raz przeprosiwszy Dziadzia odszedł do swojego domu przez nasz sad. Już się dobrze rozwidliło, gdy dał się słyszeć warkot samochodu i zajadłe szczenie naszego owczarka. Mama z Felą wyszły na podwórze, a za bramą w samochodzie siedział Prokop i kilku NKWudzistów. Ciocia odciągnęła od bramy szalejącego psa i zamknęła go w stodole. Mama otworzyła „gościom” bramę i nieproszeni na czele z Prokopem weszli do domu. Oczywiście Prokop odezwał się pierwszy: „*No Czyżewski. Mów, gdzie jest policjant, bo jego tu widzieli!*”. Z odpowiedzią pospieszyła Mama: „*To niemożliwe. Jego tu nie ma. On jest na Polesiu*”. Na to odezwał się oficer: „*Jak mąż się tu zjawi, to ma się do nas zgłosić. Mamy dla niego pracę*”. Mama przytaknęła, ale zaraz pomyślała: „*O! niedoczekanie Wasze*”. Podczas tej dyskusji ciocia Fela zastawiła stół. Oczywiście na pierwszym miejscu pojawiła się wódka. Bystra kobieta, obserwując Rosjanina zauważyła, jak bardzo ucieszył się z tego widoku. A Prokop, jakby „*namaszczony*” przez niemiłe widzianych „*gości*”, odezwał się do żołnierzy: „*Idźcie i dobrze szukajcie w każdym pokoju, piwnicy i na strychu*”; ale gdy rewidzja nie dała rezultatu, wysłał „*szperaczy*” do penetracji zabudowań, ale i stamtąd

wrócili z niczym. Wówczas wojskowy odprawił żołdaków, a sam zajął miejsce przy stole, siedząc naprzeciwko ściany, pod którą stało szerokie łóże nakryte starannie falbaniastą narzutą, na której piętrzyły się, pod sam sufit, falbaniaste poduszeczki od największej do najmniejszej. Oficer przyglądał się łóżku i gdy jeszcze nie miał zbyt nio „w czubie” wstał i podszedł do łóżka „Towarzystwo zamarło”, a on dotknął poduszeczek i zwrócił się do mojej Babcia ze słowami „Wy charaszaja chazajka” (Jest pani dobrą gospodynią). Po tych słowach wrócił do stołu, ale nadal, wbiął wzrok w posłanie. Prokop bardzo dbał o to, aby w stakanie (szklance) nie brakło mocnego trunku. Moja Babcia w piecu chlebowym przechowywała upieczone mięswo, które bardzo wojskowemu smakowało. On pił i „zakusywał”. Zakusywał i pił na umór. Chciał się podnieść z krzesła, ale „wyskokowa pani” nie pozwoliła mu na to. Ledwie już widział na oczy, ale rozumiano o czym mówił. Jeszcze raz powtórzył: „Kak muž wieniotsia” (Jak mąż wróci). Prokop stwierdził, że pijanica ma już dość. Pomógł oficerowi dojść do samochodu, gdzie już swoim przełożonym zaopiekowali się jego podkomendni. Prokop zamknął bramę, wypuścił ze stodoły psa i wrócił do kuchni, gdzie nastąpiła, jakby w teatrze, odsłona innej scenerii. Szybko zdejmowano z łóżka poduszeczki, pierzynę i odsłonięto mojego Tatę leżącego na boku z twarzą zwróconą do ściany. Nie mógł się ruszać, był cały jakby zdętwiały, ale trochę masażu przywróciło mu sprawność ruchową. Przeżył też stres, co wpłynęło negatywnie na organizm. Był na wyciągnięcie ręki okupanta, mógł być łatwo zdemaskowany. Ale ocalał dzięki naszemu sąsiadowi Prokopowi. To o tym właśnie szeptał ukraiński chłop doradzając jak ukryć bezpiecznie „niebezpiecznego wroga ludu”, wroga władzy sowieckiej. Mój Tata uniknął Katynia dzięki

Ukraińcom, szlachetnym ludziom. Zarówno Tym z Polesia jak i temu z Podhajec. A kulminacją tego cudownego ocalenia okazał się ppłk NKWD Aleksander pochodzący z Petersburga (o tym w opowieści „Ryngraf i ppłk NKWD”).

W innych moich opowieściach o przeżyciach okupacyjnych mego Taty, jak mantrę, przytaczam jego słowa: „Nie ważna jest narodowość, rasa, religia, ale najważniejsze to być Człowiekiem i zawsze widzieć go w bliźnim”. Jeszcze kilkakrotnie znalazł się Tata w bezpośrednim zagrożeniu życia, ale dzięki szlachetnym ludziom przeżył. Spotkał na swoich tragicznych ścieżkach życia Ukraińców, Rosjan, Niemców, Polaków, którzy ratowali go przed niebezpieczeństwem. W jednym z moich wierszy widnieją słowa: „Chwała Wam za to wielka, że ratowaliście bliźniego, dla Was zawsze człowieka”. Ludzie szlachetni, wielkiego serca dobrze zrozumieli i wcielali w życie Chrystusowe przykazanie: „Kochaj bliźniego jak siebie samego”. A jak odnoszą się do tego czytający te słowa? Zbliżając się z każdym dniem do mety naszego życia powinniśmy pamiętać, że pochylenie się z troską nad bliźnim nic nie kosztuje, a dobroć okazana powraca do nas w różnej postaci, a człowiek który z całego serca stara się pomóc drugiemu pomaga również samemu sobie.

W księdze Ewy i Władysława Siemaszków „Ludobójstwo” jest wymienionych 19 miejscowości o nazwie Podhajce. Ciekawostką jest to, że leżały one w niedalekiej od siebie odległości. Te, w których mieszkaliśmy, znajdowały się blisko miasteczka Targowica, przy bitym trakcie (utwardzona droga) Łuck-Dubno, gminą były Jarosławicze w powiecie dubieńskim.

Danuta Siwiec



**Modlitwa** - МОЛИТВА

## LITANIA DO ŚW. ZYGMUNTA SZCZĘSNEGO FELIŃSKIEGO

Kyrie elejson, Chryste elejson, Kyrie elejson  
Chryste usłysz nas,  
Chryste wysłuchaj nas,  
Ojcie z nieba Boże, zmiłuj się nad nami  
Synu, Odkupicielu świata, Boże,  
Duchu Święty Boże,  
Święta Trójco, Jedyne Boże,

Święta Maryjo, módl się za nami  
Święty Józefie orędowniku nasz,  
Święty Zygmuncie Szczęsny,

Uwielbiający Boga w Trójcy Przenajświętszej,  
Bezgranicznie ufający Opatrzności Bożej,  
Wierny sługo Najwyższego Kapłana,  
Gorliwy czcicielu Najświętszej Eucharystii,  
Pasterzu przeniknięty duchem Ewangelii,  
Kapłanie według Serca Jezusowego,  
Idący za Chrystusem drogą krzyża,  
Wzorze miłości Boga i bliźniego,  
Apostole niosący ludziom światło Chrystusowej nauki,  
Wielki czcicielu Matki Najświętszej,  
Naśladowco cnót Najświętszej Rodziny,  
Mistrzu modlitwy i zjednoczenia z Bogiem,  
Wzorze posłuszeństwa Ojcu Świętemu i Stolicy Apostolskiej,  
Ozdobo Kościoła Chrystusowego,  
Założycielu i duchowy opiekunie Zgromadzenia „Rodziny Maryi”,  
Bogaty w miłosierdzie wobec potrzebujących,  
Opiekunie sierot i ubogich,  
Wierny naśladowco św. Franciszka z Asyżu,

Wzorze ubóstwa, pokory i prostoty,  
Obrońco praw Kościoła i Narodu,  
Prowadzący zbłąkanych do jednoświary,  
Nauczycielu ładu i porządku moralnego,  
Szanujący godność każdego człowieka,  
Wzywający narody do ewangelicznego braterstwa,  
Wytrwale pracujący nad odrodzeniem rodziny,  
Zatroskany o trzeźwość narodu,  
Doceniający pracę i wysiłek każdego człowieka,  
Obrońco ludzi pokrzywdzonych i prześladowanych,  
Niosący w życie pokój, sprawiedliwość i pojednanie,  
Wzorze cierpliwości i przebaczenia,  
Promieniujący na otoczenie świętością życia,  
Z ufnością czekający na wezwanie do Domu Ojca,  
Wierny wyznawco i orędowniku nasz u Boga,

Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, przepuść nam, Panie.  
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, wysłuchaj nas, Panie.  
Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata, zmiłuj się nad nami.

Módl się za nami, święty Zygmuncie Szczęsny.  
Abyśmy się stali godnymi obietnic Chrystusowych.

Módlmy się:

Wszechmogący, miłosierny Boże, Ty w swojej świętej Opatrzności, prowadziłeś świętego Zygmunta Szczęsnego, biskupa, drogą cierpienia, prawdy i miłości, spraw za jego wstawiennictwem, abyśmy wiernie służąc Chrystusowi w Kościele, mogli osiągnąć życie wieczne. Przez naszego Pana Jezusa Chrystusa, Twojego Syna, który z Tobą życie i króluje w jednoświ Duchu Świętego, Bóg przez wszystkie wieki wieków. Amen.

Źródło:

„Litania do św. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego” //

<http://zfelinski.blogspot.com/2011/09/litania-do-sw-zygmunta-szczesnego.html>

